NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — **Do Niemiec:** Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal. z przesyłką pocztową. — **W Ameryce:** Kwartalnie 7 kor. 55 hal Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny)

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Królestwo Polskie: Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XIV. **Kraków, 8. września 1917.** **Nr. 36.**

W ziemi obiecanej.



1) Rumuńscy cygani podczas żniwa na łanach królewszczyzny w Segarcea. 2) Rumunki przy zbiorze pszenicy. 3) Hodowla gęsi, przeznaczonych na eksport do Niemiec na folwarku dóbr koronnych w Segarcea. 4) Pławienie nierogacizny z folwarku w Segarcea. (Fot. „Bufa".)

Treść numeru: Nowi sojusznicy koalicyi. — Powrót ks. metropolity Szeptyckiego. — Braterstwo broni i t. d.

W ziemi obiecanej.

(Do illustracyi tytułowej).

Okrzyczano Galicyę, że to kraj „mlekiem i miodem płynący“, gdzie wszelkiej żywności znajdzie tyle, iż nadmiar jej powinien być kierowany ku zachodowi. Tak utrzymuje stale prasa, zwłaszcza wiedeńska, która przyzwyczaiła się uważać Galicyę za spichlerz na korzyść innych krajów monarchii. Opinia ta, dla naszej biednej Galilei bardzo może pochlebna, nie jest przecież zgodną z prawdą, o czem my, jej mieszkańcy, wiemy najlepiej i niejednokrotnie już musieliśmy się ratować pomocą, nadchodzącą jednak bardzo nieregularnie, zwłaszcza z Rumunii.

Kraj ten, wybitnie rolniczy, może być w samej rzeczy nazwany „ziemią obiecaną“, czego mieliśmy dowody zostając z nią na stopie pokojowej. W owym czasie zaopatrywała nas za drogie pieniądze w różne rodzaje zboża i mąki, przeważnie bardzo pośledniego gatunku. Nieraz słyszało się narzekania na różne niezbyt ponętne domieszki do rumuńskiej mąki, jak kamienie, słoma, kawałki drzewa, raz nawet podobno całe gniazdo bocianie. Z chwilą zerwania stosunków z mocarstwami centralnemi, dostawy za gotówkę ustały, wkraczające zaś do Rumunii wojska sprzymierzone zastały w samej rzeczy taką obfitość wszelkich zapasów spożywczych, jakiej się nawet nie spodziewano. Część ich uległa wprawdzie zniszczeniu, wiele przecież udało się uratować.



Z frontów bojowych: Przednie placówki na zachodnim froncie

Illustracye, zamieszczone w niniejszym numerze, dają obraz rozwoju gospodarstwa rolnego w Rumunii, nad czem czuwają obecnie z wielką troskliwością władze okupacyjne.



Z frontów bojowych: Cesarz Karol (X) śledzi podczas jedenastej bitwy nad Soczą przebieg walk o Fajti Hrb.

Ochronka dla sierót w Kałuszu.

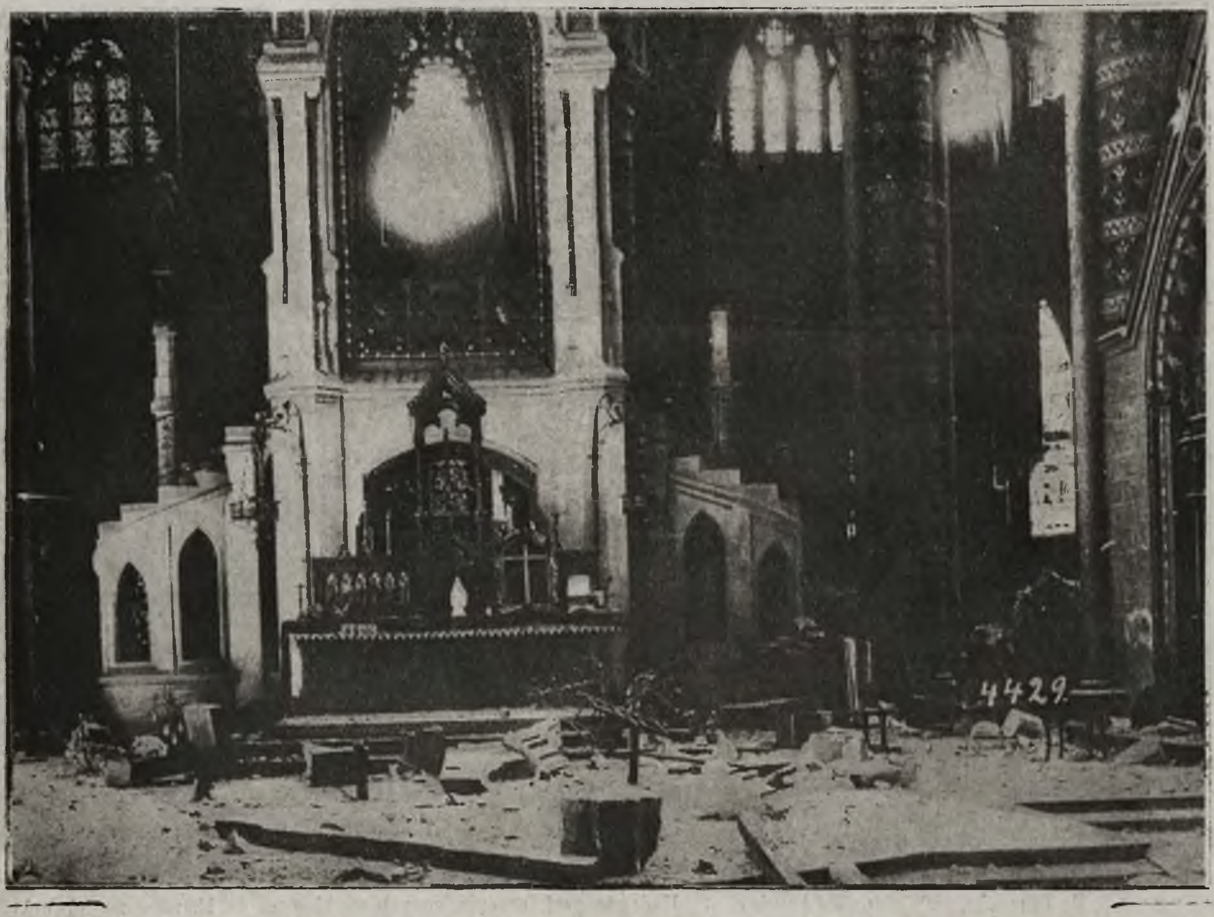
Kałusz, niewielkie miasteczko we wschodniej Galicyi, słynne dotąd ze swych salin, przeszło obecnie na karty historyi dzięki wojnie, która się w tej okolicy niebywale srożyła i strasznemu spustoszeniu przez cofających się Moskali. Z spokojnej i miłej mieściny pozostała tylko kupa gruzów i gromadka ludzi bez kawałka dachu nad głową... Wśród nich znajduje się Ochronka, pozostająca pod zarządem Sióstr Miłosierdzia, a przeznaczona dla sierót po żołnierzach, poległych w obecnej wojnie.

Najgorętsze dla Kałusza czasy, to jest okres ofenzywy rosyjskiej, a potem mocarstw centralnych biedne sierotki wraz z swemi opiekunkami przebyły w Dolinie, w baraku koncentracyjnym, zwanym „saliną“. Pobyt ich tutaj trwał dwa tygodnie, a wiodło się im nie najgorzej, dzięki pomocy i poparciu dobrych ludzi, zwłaszcza zaś komendanta baraku, pana Henryka Bieniasza, który nie szczędził ni pracy, ni trudu, by otoczyć serdeczną opieką te biedne maleństwa i osłodzić im bodaj jakotako ich los. Siostra Pacyfika z zadowoleniem mogła patrzeć na powierzoną jej pieczy gromadkę, która zdrowo i we sołо, a co najważniejsze, nie głodno, przebyła czas swej tułaczki.



Ochronka dla sierót w Kałuszu: Sierotki pod opieką przełożonej, siostry Pacyfiki i w towarzystwie komendanta baraku koncentracyjnego, p. H. Bieniasza (X), z czasu ewakuacyi do Doliny.

Komendant baraku, p. Bieniasz, miał zaś trudne bardzo zadanie do wypełnienia, jego bowiem obowiązkiem było ewakuowaną ludność, zebraną w większe partye, czas jakiś odpowiednio poumieszczać i wyżywić a następnie wysłać do baraków perlustracyjnych w Turce i Samborze. Praca to niezbyt przyjemna i łatwa, zwłaszcza, jeżeli się zważy, że w krótkim stosunkowo czasie kilka tysięcy osób



Zniszczone zabytki architektoniczne: Wielki ołtarz w zniszczonej katedrze w St. Quentin. (Fot. Bufa).

wraz z kilkuset sztukami bydła trzeba było skierować w głąb kraju.

Podczas ostatniego zajęcia Kałusza przez Moskali w lipcu b. r., ochronka pozostała w Kałuszu i tam przeszła, dzięki Bogu, dość szczęśliwie wszelkie z tą „wizytą“ połączone przyjemności.

Wówczas to rozegrała się bardzo rzewna scena. Gdy kozacy napadli na ochronkę, jeden z nich z kindżałem w ręku rzucił się w stronę siostry przełożonej, by ją zamordować. Maleńka dziecina, którą na fotografii widzimy siedzącą na kolanach komendanta, rzuciła się w tej chwili między napastnika a zakonnicę, wołając z płaczem: „Nie zabijaj mamy!“... To poskutkowało. Zbir wstrzymał rękę, gotową już do ciosu, zaklął i odszedł, ale życie ludzkie było uratowane...



Z frontów bojowych: Cesarz Karol w rozmowie z żołnierzami, rannymi podczas jedenastej bitwy nad Soczą.

W stolicy Litwy.

(Do illustracyi na str. 9).

W czasie obecnej wojny wojska mocarstw centralnych rozrzucone są po rozmaitych frontach bojowych, gdzie walczą ramię w ramię przeciw wspólnemu wrogowi. Naczelne dowództwa armii pozostają ze sobą w ciągłym kontakcie, a najwyżsi wodzowie, w szczególności zaś cesarz Karol i cesarz Wilhelm, bardzo często odwiedzają swe waleczne szeregi, by na miejscu przekonać się o postępach i zagrzać bohaterów do dalszego wytrwania.

Przed niedawnym czasem odwiedził cesarz Wilhelm część frontu północno wschodniego, zajętego przez grupę wojsk zostających pod rozkazami jenerała Eichhorna. Przy tej sposobność zwiedził cesarz i stolicę Litwy, gdzie się znajduje obecnie główna kwatera tej części armii.

Illustracya nasza przedstawia scenę z przyjęcia cesarza Wilhelma na dworcu wileńskim.



Kursy nauczycielskie w Królestwie Polskiem: Uczestnicy wakacyjnego kursu uzupełniającego dla nauczycieli ludowych w Lubartowie. Siedzą od lewej ku prawej: Prof. M. Dubaj, insp. J. Bober, radca dr. M Reiter, dyr. dr J. Magiera, dyr. dr. J. Opatrny.

Kursy nauczycielskie w Królestwie Polskiem.

Tegoroczne kursy uzupełniające dla nauczycielstwa ludowego, nie posiadającego należytego i pożądanego wykształcenia, urządziło gubernium lubelskie w porozumieniu z departamentem oświecenia publicznego w Tymczasowej Radzie Stanu. Odbyły się one w czasie od 5 do 25 sierpnia b. r. w miastach: Jędrzejowie, Lubartowie, Puławach, Radomsku i Zamościu. Kierownictwo kursu każdego spoczywało w rękach miejscowego inspektora szkolnego powiatowego. Ci prowadzili lekcye praktyczne i wykładali pedagogikę. Do wykładów innych przedmiotów powołano innych prelegentów i instruktorów.

Kurs w Lubartowie zgromadził 56 osób płci obojga ze stanu nauczycielskiego. Przybyli z powiatów lubartowskiego, krasnostawskiego i miechowskiego; był nawet jeden uczestnik z okupacyi niemieckiej. Słuchacze zwyczajni otrzymali zasiłki po 100 koron i bezpłatne pomieszczenie w lokalu szkolnym. Pedagogikę wykładał inspektor J. Bober, zasady języka polskiego i dzieje piśmiennictwa ojczystego dr. Jan Magiera (z Piotrkowa), historyę i krajoznawstwo Polski dr. Jarosław Opatrny (z Kielc). Nadto wolne godziny w tygodniu poświęcone były poznaniu „szkoły pracy“, której prawidła i cele przedstawił p. Michał Dubaj (z Białej). Biegiem kursu interesowało się gubernium i wysłało swego delegata w osobie dr. Maryana Reitera, radcy szkolnego i generalnego inspektora szkolnictwa polskiego w okupacyi austryackiej.

Kursiści odbyli trzy wycieczki naukowe: do Kozłówki, ordynacyi hr. Zamojskich, do Sernik i Chlewisk za Wieprzem, celem praktycznego uzupełnienia wiadomości teoretycznych. Szczególną wartość posiadało zwiedzenie Kozłówki, istnego muzeum magnackiego i przecennej galeryi obrazów. W zbiorach znajdują się nadwartościowe rzeczy, jak biurko Ludwika XV., kandelabry z jego doby, portrety hetmanów i królów, przecudna kaplica pałacowa z ołtarzem, sobowtórem ołtarza w królewskiej świątyni w Wersalu i t. d.

Docenci kursu poświęcili też po jednym wykładzie dla miejscowej publiczności. Dr. Magiera przedstawił „Ideały Mickiewicza w zwierciedle doby obecnej“, dr. Opatrny zaś wygłosił piękne przemówienie o „Kościuszce“. Dochód z wykładów przypadł celom Stowarzyszenia nauczycielskiego w okręgu lubartowskim.

Kurs ostatni zakończono uroczystem nabożeństwem, na którem byli także: komendant powiatu, podpułkownik St. Niklas, jego zastępca major Habrel, oraz starosta dr. Slęk. W podniosłym nastroju żegnali się słuchacze ze swymi mistrzami, z którymi zawarli serdeczne przymierze przyjacielskie.



Zniszczone zabytki architektoniczne Wybuch francuskiego granatu na wieży budynku giełdowego w St. Quentin.





Zniszczone zabytki architektoniczne: (Fot. „Bufa".)

Wnętrze słynnej katedry w St. Quentin przed zniszczeniem (Zdjęcie z lutego, 1917). Gruzy domostw w najbliższem otoczeniu katedry w St. Quentin.



Zniszczone zabytki architektoniczne: Ogólny widok miasta St. Quentin wraz ze zniszczoną katedrą. (Zdjęcie z 19 sierpnia 1917). (Fot. „Bufa").

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

14

– Lolu – powiedziała pani Żarnicka do córki – weź koszyczek i przejdź się ulicami... Wszystkie panny już chodzą.

– Dobrze, mamusiu. – Wstała i zaczęła układać perkalowe niezapominajki w drucianym koszyczku.

– Ja będę pani towarzyszył – ofiarował się Władek Koszczyc – zobaczy pani, jak będę ślicznie dzwonił puszką... Przyjmie mnie pani za towarzysza?...

– Ależ naturalnie, z przyjemnością – odpowiedziała panienka trochę wahająco i rzuciła z pod rzęs ukradkowe spojrzenie na Łuniewskiego, który jednakowoż, nie spostrzegając tego, ustawiał na stoliku wazony ze świeżymi kwiatami.

– Julek zostanie!... – mówił dalej Władek. – On jest za ciężki, za leniwy!... Co innego my młodzi!...

Władek zaśmiał się i pogładził wąsa.

Brwi pani Żarnickiej zsunęły się lekko, a Lola stała się, jakby jeszcze bledsza.

– Chodźmy, panie Władysławie...

Przy stoliku zostały pani Żarnicka z Józią – w towarzystwie Łuniewskiego.

Zaledwie Lola i Koszczyc zniknęli w bocznej ulicy, na rynku pojawiła się pani Kasztalińska, w czarnym jedwabnym kostyumie, ze swojem nieodstępnem „lorgnon" w ręce.

Obchodziła ona tak wszystkie stoliki, niby generał, czyniący przegląd swej armii.

– Dzień dobry państwu!... Dzień dobry! – zawołała, podchodząc do stolika Żarnickiej. – Jakże idzie?... O! Na tacy niewiele jeszcze, a puszka?...

Wzięła puszkę i ważyła ją przez chwilę w ręce.

– Lekka – powiedziała z grymasem niezadowolenia – stanowczo lekka!... O! Nasza publiczność bardzo się zepsuła!... Nie chcą dawać!... I to jeszcze każdy pyta zaraz: A na co, a dla kogo, a po co, a gdzie?... Parę halerzy da, a chciałby, żeby mu dokładny rachunek zdawać ze wszystkiego. Lekka puszka, bardzo lekka!...

– Wcześnie jeszcze – zauważyła pani Żarnicka – do południa dosyć się zbierze!...

– Od rana trzeba zaczynać energicznie!... Od rana, proszę pani!... Wie pani, ta fiksatka Tyssowska prorokowała po swojemu, że dochody nie pokryją wydatków!...

– Któżby zważał na Tyssowską...

– Oczywiście, oczywiście! Ale musimy jej pokazać...

Kasztalińska spojrzała na Józię i przez dłuższą chwilę zatrzymała na niej wzrok.

Prezesowa znała się na urodzie i skonstatowała, że młoda mężatka wygląda prześlicznie, chociaż twarzyczkę ma dzisiaj trochę bladą i jakby smutną, a strój jej jest bardzo skromny.

– Panna Lola poszła już?... To pięknie. A pani? Czemuż pani nie bierze koszyczka i nie przebiegnie po mieście!... Taka młoda osoba, a siedzi przy stoliku nieruchomo... Do czego to podobne?... No! Dalej do roboty!... – zachęcała prezesowa Józię, uśmiechając się do niej przyjaźnie.

Młodej kobiecie błysnęły oczy. Tak jej tutaj było nieswojo przy boku świekry – taka się czuła skrępowana, zmieszana...

Z chęcią pobiegłaby na miasto!...

– Ale czy pani Żarnicka pozwoli?...

– Ja owszem, chętnie... – odpowiedziała niepewnie Józia – ale nie wiem...

– No raz... dwa!... Niech się pani zbiera!... Pan Łuniewski z panią i koniec!...

Julian wpatrzył się w Józię, która pytające spojrzenie zwróciła ku pani Żarnickiej.

– Daruje pani prezesowa – powiedziała spokojnie, chłodno pani Żarnicka – ale synowa moja zostanie przy stoliku... Bieganie po ulicach dobre jest dla panien, ale nie dla mężatek!...

– Ech!... Taka stara mężatka!... – zaśmiała się Kasztalińska. – Nic się pani Konradowej nie stanie, jeżeli się przeleci trochę!... To na cel dobroczynny przecież!...

– I przy stoliku zbierać można!...

– Trzeba czekać, aż kto podejdzie!... To nie to samo!... Nie rozumiem, dlaczego pani synowej nie chce pozwolić... Doprawdy, możnaby powiedzieć, że ją pani... trochę... trochę... tyranizuje... – mówiła ze złośliwem spojrzeniem Kasztalińska.

– Ale, cóż znowu... O tyranizowaniu niema mowy... No, Józiu, powiedz sama, chcesz chodzić po ulicach?...

Spojrzenie, jakie pani Żarnicka utkwiła w synowej, było rozkazujące, zimne i ostre, jak stal.

Mówiło ono wyraźnie: Nie waż się!...

I to właśnie wzburzyło w Józi krew – zbudziło w niej znowu ducha oporu!...

Młoda kobieta przeżyła już dzisiaj przykrą, burzliwą scenę, która pozostawiła ślady łez w jej oczach.

Przed samem wyjściem, kiedy już Józia zaczynała ubierać się, pani Żarnicka weszła do jej pokoju i powiedziała:

– Nie będziesz siedziała przy stoliku... Napiszesz sama do Kasztalińskiej, że czujesz się niezdrowa i dlatego nie możesz brać udziału...

Józia spojrzała zdumiona i wypuściła z rąk rękawiczkę, przy której przyszywała brakujący guziczek.

– Dlaczego?! – zapytała.

– Bo tak ja sobie życzę i taka byłaby napewne wola Konrada.

– Czy mama i Lola będą?...

– My, oczywiście.

– Konrad mówił mi wyraźnie, że życzy sobie, abym bywała w towarzystwie Loli i pod opieką mamy... Więc nie rozumiem, dlaczego...

– Aha! Naturalnie, chcesz się bawić i kokietować w nieobecności męża!... Dobrze!...

Twarz synowej zabarwiła się gorącym rumieńcem.

– To przecież nie żaden bal ani zabawa!... A zresztą mama sama powiedziała mi, że będę...

– Nie rezonuj – tylko napisz to, co ci mówiłam!...

Wtedy usta Józi zacisnęły się, a w oczach rozgorzał płomyk buntu.

– Ja tego nie napiszę! – powiedziała stanowczo – Mogę w dniu „kwiatka" nie brać udziału, jeżeli mamie o to chodzi, ale kłamstw nie będę wypisywała!... Nie dam się do tego zmusić!...

Mierzyły się przez chwilę spojrzeniami. Wreszcie Żarnicka syknęła:

– Ubieraj się, a nie zrób ze siebie czupiradła, za któremby się wróble na dachach oglądały!... I zachowuj się porządnie!... Oczami nie strzelaj na mężczyzn, rozumiesz!... Żebym się nie musiała wstydzić za ciebie, bo, niestety, jesteś moją synową!...

– Oj! Niestety!... – jęknęła Józia, kiedy świekra zniknęła za drzwiami.

Łzy popłynęły po pobladłych policzkach młodej kobiety. Odeszła ją ochota do ubierania się i do „kwiatka". Możeby ustąpić i napisać do prezesowej?... Kto wie, jak Konrad...

Po chwili jednak Józia otrząsnęła się z przygnębienia.

Nie! Tego nie zrobi!... Nie da się tak tyranizować!... Nie jest przecież więźniem, ani niewolnicą!

Otarła oczy, obmyła zimną wodą świeże ślady łez i ubrała się starannie.

Włożyła skromną batystową sukienkę, pamiętającą jeszcze praskie czasy, kapelusz, który sobie sama obciągnęła kawałkiem białej gazy i otoczyła wianuszkiem chabrów i obejrzała uważnie rękawiczki, aby się przekonać, czy pocerowania końców palców nie są nazbyt widoczne.

Na nowe rękawiczki nie miała pieniędzy, a Żarnickiej prosić nie chciała. Nie przyszło jej to zresztą nawet do głowy, żeby to zrobić mogła.

Kiedy Józia, zupełnie już ubrana, przejrzała się w lustrze, przelotny uśmiech zadowolenia rozjaśnił jej posmutniałą twarz.

Przyznała sobie sama, że wygląda ładnie.

– Trochę zanadto jestem mizerna – pomyślała – Larchówna miała racyę... Ale to nic dziwnego, że mizernieję. Przy takiem życiu...

W tej chwili zapukano do drzwi.

– My już wychodzimy. Czy jesteś gotowa? – zabrzmiał głos Loli.

– Zupełnie gotowa.

– – – – – – – – – – – – – – – – – –

W buntowniczem usposobieniu Józia wyszła z domu i dlatego teraz nie usłuchała niemego rozkazu świekry, ale odpowiedziała spokojnie:

– Owszem, pójdę bardzo chętnie.

Pani Żarnicka zacisnęła swoje wąskie wargi.

– A widzi pani!.. – zawołała Kasztalińska, dobrodusznie niby, lecz kąty jej ust drgnęły złośliwym uśmiechem.

– Więc idź! – powiedziała krótko pani Żarnicka.

Głos miała spokojny, nie mogła się jednak na tyle opanować, aby z jej czarnych oczu nie strzelił ku synowej płomień nienawiści.

Józia, która wstała już od stolika, zadrżała nagle nieokreśloną trwogą i zawahała się, niepewna, co ma robić.

Kasztalińska jednak stała już przy niej i wtykała jej w rękę koszyczek z kwiatkami.

– No, dalej do roboty, a żywo, z uśmiechem! Zrobić ładną minkę!... Żeby pani wróciła z pełną puszką. – dokończyła, podając Łuniewskiemu puszkę.

Prezesowa zaopatrzyła jeszcze Łuniewskiego i Józię w kilka fachowych „kwestarskich" uwag i, pożegnawszy Żarnicką – bardzo zadowolona ze siebie, udała się na dalszy przegląd.

Niedługo potem na rynku ukazała się znowu Lola z Koszczycem.

Dziewczynie krew uderzyła do głowy, kiedy zobaczyła matkę samą przy stoliku.

– Gdzie Józia?! – krzyknęła prawie – I pan Julian?... – dokończyła ciszej.

– Poszli z puszką po mieście. – odpowiedziała krótko matka, topiąc w córce znaczące spojrzenie.

Chwilowy, krwisty rumieniec Loli ustąpił miejsca sinawej jakiejś bladości.

– Jakto?... Przecież mężatka...

– Prezesowa nalegała, no i sama chciała koniecznie.

– Tak?... Ależ doprawdy! Co ludzie... coby Konrad na to powiedział.

– Jeżeli sama chciała... – odparła pani Żarnicka, dobitnie akcentując wyrazy.

– Proszę pani – wtrącił Koszczyc – cóżby pan Żarnicki mógł mieć przeciw temu... Takie młode mężatki mogą jeszcze śmiało stanąć w rzędzie panien...

I Władek trochę filuternie zerknął z boku na Lolę.

– Zależy, jak kto zapatruje się na poważne obowiązki małżeństwa. – odpowiedziała pani Żarnicka – Mniejsza jednak z tem... Dużoście zebrali?...

– Niezbyt dużo – rzekła Lola, siadając obok matki – ludzie mają już dosyć tych wiecznych „kwiatków" i, co prawda, mają racyę...

– Wiele hałasu o nic. – zaśmiał się Koszczyc.

– A tak. Więcej hałasu, krętaniny, flirtu i strojów, jak pożytku.

Pani Żarnicka spojrzała na córkę niezadowolona. Nie lubiła, kiedy Lola wypowiadała zanadto śmiałe, samodzielne myśli.

– Moja Lolu, proszę cię, nie zapatruj się na panią doktorową Tyssowską i krytykę pozostaw osobom starszym, które mają więcej od ciebie doświadczenia... Istotnie, niewiele zebraliście. – dodała, biorąc do ręki przyniesioną puszkę.

– Inne jeszcze mniej mają. – odpowiedziała Lola – Czy, mamusiu, Józia dawno poszła?

– Przed kwadransem.

– Nie chcą dawać, stanowczo nie chcą. – zawołał Władek, rozkładając ręce z komiczną rozpaczą – Trząsłem puszką, dzwoniłem, prosiłem, namawiałem, przedstawiałem szczytny cel, niczem sama pani prezesowa Kasztalińska, ale ludzie stwardniali, no i nie dziwię się im...

Matka i córka, pomimo wewnętrznego rozdrażnienia, musiały uśmiechnąć się z zabawnych min Koszczyca...

– Gorąco... – westchnął, ocierając czoło chusteczką.

– Czemuż pan stoi? Proszę, niech pan usiądzie. A ty zmęczona jesteś, Lolu?...

– Bardzo. A w którą stronę poszła Józia?

– Nie wiem.

W tej chwili na tle oblanego słońcem rynku, wynurzyły się postacie Mici Kożuchowskiej i pana Potyrowskiego.

– Dzień dobry. – zawołała panna Micia, zbliżając się do stolika Żarnickich – Jakże idzie? O! Lolusia już się zmęczyła?... To prędko. Widać słabiutka, ja jestem wytrwalsza. Od ósmej godziny biegam, prawie, że nie odpoczywam.

– Nic dziwnego. Ma pani więcej wprawy... Od tylu lat... – odpowiedziała spokojnie pani Żarnicka.

Piegi panny Mici poczerwieniały pod grubą warstwą pudru.

– Za to synowa pani okazuje niezwykłą energię... – zaszczebiotała słodkawo-cierpkim

tonem – Panowie poprostu rozchwytują jej kwiaty. Szczególnie oficerowie... Bo co też to za śliczna osoba... Wszyscy zachwyceni są jej pięknością, a już najbardziej, to, zdaje się jej, towarzysz, pan Łuniewski... Ma taką rozpromienioną minę.

– Jaka pani spostrzegawcza, panno Miciu... Takie ofiarne zajęcie się „kwiatkiem" nie przeszkodziło pani wcale w obserwowaniu mojej synowej i miny jej towarzysza...

– Ach! Bo ja sama jestem panią Konradową zachwycona... Nie mogę się na nią napatrzyć... Cóż dziwnego, że ma powodzenie i zwraca ogólną uwagę... Co prawda, niektórzy dziwią się, że jako mężatka zgodziła się chodzić po ulicach... Moja mamusia...

– Moja synowa – przerwała jej pani Żarnicka – jest jeszcze tak młodziutka, że niektóre panny łykowskie zapomniały już, kiedy były w jej wieku...

Tym razem panna Kożuchowska nie poczerwieniała, ale posiniała i rzuciwszy szybkie spojrzenie na Potyrowskiego, pospiesznie pożegnała Żarnickie.

– Niezrównana jest ta panna Kożuchowska w swoim kapeluszu, który, doprawdy nie wiem, co ma przypominać, piramidę egipską, czy głowę cukru. – rzekł z uśmiechem Koszczyc, spoglądając za odchodzącą.

Pani Żarnicka uśmiechnęła się blado.

– Złośliwy pan jest, ale istotnie uwaga słuszna... Odrobiny gustu niema w tem jej całem ubraniu... Już dzisiaj, to się specyalnie wystroiła...

– Zdaje mi się, że to na intencyę pana Potyrowskiego...

– Tak, i ja to uważam.

– Ależ ta Józia długo nie wraca. – odezwała się nagle Lola, która widocznie wcale nie o pannie Mici myślała, a może nawet nie słyszała, o czem matka i Koszczyc mówią.

– – – – – – – – – – – – – – – –

Łuniewski tymczasem prowadził Józię z ulic więcej ludnych, bardziej ożywionych, w coraz cichsze przecznice i zręcznie kierował ku tej stronie miasta, gdzie widział młodą Żarnicką po raz pierwszy.

Józia od chwili, kiedy przestała czuć na sobie przenikliwe, wrogie spojrzenie świekry – odzyskała zwykłą sobie żywość i wesołość. Oczy jej poweselały, cera zaróżowiła się trochę, a usta rozchylały się ślicznym, bezwiednie zalotnym uśmiechem.

Łuniewski oczu nie mógł oderwać od niej i zapominał nawet o tem, że ma potrząsać puszką i zachęcać przechodniów do wrzucania datków.

To wpatrzenie się jego w młodą mężatkę musiało zwrócić uwagę tego i owego, zwłaszcza zaś nie uszło wzroku pań Kożuchowskich, Figurskich, Mizerskich i wielu innych.

Wkońcu sama Józia zwróciła się do Łuniewskiego z zapytaniem:

– Proszę pana, czy mnie się kapelusz przekrzywił?...

– Nie, proszę pani.

– To może mi się włosy rozsypały?

– Ależ bynajmniej.

– No, to czego mi się pan tak przypatruje, jakbym była jakiemś dziwadłem – rzuciła Józia już z jakąś irytacyą. – Przecież nie mam rogów na głowie!...

Uśmiech przemknął po cienkich wargach mężczyzny.

– Oczywiście, że nie, ale pani jest taka śliczna!... – wyrwało mu się zupełnie niespodzianie dla samego siebie i w tej chwili złość go ogarnęła, bo zasadą jego było: nie mówić nigdy kobietom komplementów.

– Masz tobie! – zawołała Józia z zabawnie dziecinną minką, napół śmiejącą, napół zakłopotaną. – Ale, wie pan co, niech się pan już lepiej patrzy na kogo innego, bo ja nie lubię, jak mi się kto tak przygląda...

– A na kogo się mam patrzyć?

– O! Choćby na tę panią, co idzie przed nami...

– Na tę w szafirowej sukni z amarantową szarfą i w kapeluszu z ponsową kokardą?... Nie mogę, proszę pani, boby mnie oczy zabolały...

– No, to niech się pan patrzy na drzewa, na domy, na co pan zresztą chce, tylko nie na mnie...

– Postaram się być posłusznym, ale napewne nie obiecuję...

– Najgorzej, jak pan ma ochotę być posłusznym – odpowiedziała z łobuzerskim ognikiem w oczach Józia.

Roześmiali się oboje. Chwilowe niemiłe zakłopotanie ustąpiło miejsca swobodnemu, wesołemu nastrojowi.

A Łuniewski zadał sobie znowu w myśli pytanie: jaka ona jest właściwie – czy taka naiwna, czy chytra kokietka, czy jakaś zupełnie różna od kobiet, które znał dotychczas?

Józia zatrzymała się nagle i obejrzała się wokoło.

– Proszę pana, ale to myśmy zadaleko zaszli!... Tutaj nie warto chodzić, bo się mało kogo spotyka...

– I tak pani już więcej zebrała, niż inne... Ledwie mogę puszkę udźwignąć... Niech pani pozwoli ludziom trochę odetchnąć i sama odpocznie... Poznaje pani tę ulicę?

– Pewnie, że poznaję... Wracałam tędy ze spaceru, wtedy...

Urwała i zarumieniła się.

– Wtedy, jak mój kolega panią zaczepił – dokończył Łuniewski. – Bardzo pani była wówczas oburzona?...

– E! Oburzona, to znowu nie!... Czy mnie się to pierwszy raz zdarzyło, żeby mnie kto zaczepił?... – powiedziała Józia z naiwną szczerością.

Łuniewski miał ogromną ochotę roześmiać się głośno, ale bał się, że ją obrazi.

– Więc panią już nieraz zaczepiano?...

– Ojej!... Ile razy... Jeszcze jak byłam podlotkiem...

– Więc to pani nie było nieprzyjemnie wtedy...

– No, wie pan... trochę mi się zrobiło nieprzyjemnie... Ludzie zaczęli zwracać uwagę, a on się robił taki natarczywy... Jabym mu tam była porządnie odpaliła, ale jestem już mężatką, więc nie wypadało... O! Dawniej...

– Dawniej wypadało, co?...

– I dawniej nie wypadało – przyznała z rezygnacyą – ale ja zawsze miałam ochotę robić, co nie wypada... Powiadam panu, byłam rozpaczą ciotki, ojca, nauczycielek... Inaczej mnie nie nazywali, jak szalona, narwana Józka...

– A mieli racyę?...

– Trochę mieli, a trochę nie. A wtedy, jakem panów spotkała, to mnie nawet porządny strach zebrał, bo pomyślałam sobie, coby to było, żeby mnie tak moja świekra zobaczyła...

Łuniewski spojrzał na nią uważnie.

– Coś mi się zdaje, że u pani sprawdza się przysłowie: Matka mężowa – głowa wężowa!..

Józia nagle przypomniała sobie, że rozmawia z obcym człowiekiem.

– Ależ nie... Skądże znowu... Co się panu wydaje? My z mamą jak najlepiej się zgadzamy.

Łuniewski zmarszczył brwi.

– Po co pani mówi nieprawdę?... – rzucił prawie ostro. – Z kłamstwem pani nie do twarzy.

Józia zmieszała się, ale tylko na chwilę. Odzyskała zaraz swoją zuchwałą trochę rezolutność.

– A dlaczegóż pan wymaga odemnie prawdy?... Nie będę się przecież panu zwierzała... Nie jest pan moim krewnym, ani przyjacielem...

– Ale możebym chciał być przyjacielem... – wyrzekł cicho Łuniewski.

Józia bez żenady spojrzała mu w oczy i potrząsnęła przecząco głową:

– Nie, pan nie będzie moim przyjacielem...

– Dlaczego?...

– Bo ja to czuję.

– A pani miała wielu przyjaciół?

– Niewielu, ale za to szczerych.

– A pani się zdaje, że ja jestem nieszczery?

– Nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tem. Niema o czem mówić.

Łuniewski zdjął kapelusz, jakby mu nagle zaciężyła lekka „panama".

– Ale, panie, gdzieżeśmy zaszli? – to już przecie pola... Wracajmy zaraz!...

– Tak się pani spieszy do tych spieczonych, brudnych, dusznych murów?... Jak tutaj ładnie, świeżo... Przejdźmy się kawałek, ot tą ścieżyną...

Józia zawahała się. Pociągały ją pola, zieleniejące młodem zbożem, chętnie odetchnęłaby świeższem powietrzem – zoryentowała się jednak, że taki spacer jest teraz niemożliwy.

– Nie. Nie wyszliśmy przecież na spacer, tylko na zbiórkę. Wracamy – powiedziała stanowczo.

– Jak pani każe. Ano, to wracajmy do miejskiego kurzu, do łykowskich dam dobroczynnych i – do pani świekry...

Delikatne brewki Józi zsunęły się. Spochmurniała.

Zawrócili, choć młoda kobieta z mimowolnym żalem obejrzała się poza siebie. Łuniewski spostrzegł to, ale już drugi raz spaceru nie proponował.

Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu. Józia zamyśliła się i zapatrzyła gdzieś przed siebie, a Łuniewski, postępując obok niej, obserwował nieznacznie zmianę wyrazu tej ruchliwej twarzy.

– Czy pani ma jeszcze rodziców? – zapytał niespodzianie.

Podniosła na niego oczy.

– Mamy nie mam... Mam tylko ojca i... od niedawna macochę...

Powiedziała to tak smutnie, że Łuniewskiego ogarnęło jakieś wzruszenie.

– Nie najczulszy to musi być ojczulek – pomyślał i z obojętną miną rzucił znowu pytanie:

– Dlaczego pani po wyjeździe męża została przy jego matce?...

– Konrad tak sobie życzył, a zresztą...

– A zresztą co?

– A nic.

– Nie dokończy pani?

– Nie! Nic to takiego, coby pana mogło zająć albo obchodzić. A że ja chciałam wypłacać coś niepotrzebnie, to już taki mój nieszczęsny zwyczaj...

Dużo wyższy od niej pochylił lekko głowę i wpatrzył się znowu w jej migotliwe, turkusowe oczy. Szli tak blisko siebie, że cienkie popielate sukno jego marynarki dotykało batystowego rękawa, obciskającego okrągłe a smukłe ramię młodej mężatki.

Szła ku niemu od niej fala rozkosznego, odurzającego ciepła, a kiedy pochylił się, puszyste włosy Józi muskały go chwilami delikatnie po twarzy.

Szarozielone oczy Łuniewskiego zaczęły połyskiwać złotemi iskrami, jakby prześwietlone słońcem.

– Pani, jak widzę, ma dużo wad i słabostek... – powiedział, zesuwając wzrok na jej odsłoniętą, białą, prześliczną szyję.

– Och! Bardzo dużo!... – zawołała Józia z taką przekonywującą szczerością, że mu się znowu śmiać chciało, a jednocześnie czuł, że to nieokreślone, ciepłe wzruszenie, jakie go przejęło, potęguje się.

Zapragnął czegoś więcej dowiedzieć się o niej, a przedewszystkiem tego, jakie drogi zaprowadziły ją do Konrada Żarnickiego i do jego matki.

– Pani jest Krakowianką, prawda?...

– Tak jest. To jest, właściwie urodziłam się, wie pan, gdzie?...

– No?...

Zaśmiała się swobodnym, dziecinnym uśmiechem. Musiał podziwiać, jak szybko zmienia się wyraz jej twarzy i usposobienie. To smutna i zamyślona, to wesoła i niefrasobliwa... Raz harda, prawie szorstka i odpychająca, a za chwilę po koleżeńsku swobodna i dziecinnie figlarna.

– A na Zwierzyńcu się urodziłam!... Pan zna Zwierzyniec?

– Trochę.

– Ojciec mój oddawna już mieszka w śródmieściu, ale we mnie to stanowczo zostało coś zwierzynieckiego. Ciotka, jak rozgniewała się na mnie, to mi zawsze mówiła, że się zachowuję, jak andruska ze Zwierzyńca!...

– A panią to obrażało?...

– No, jak czasem. Dawniej nawet bardzo, ale teraz widzę, że trochę w tem było racyi. Ale wcale się tem nie martwię. Jestem sobie zwierzynieckie dziecko z nad Wisły i taką już pozostanę!

– Tak! Niech się pani nie zmienia!... Niech pani zawsze pozostanie taką, jaką pani jest! – zawołał tak gorąco, że spojrzała na niego uważnie i odsunęła się trochę.

– A pan niby skąd wie, jaka ja jestem?!... Dużo mnie pan niby zna!...

– Chciałbym poznać!...

– Obejdzie się!...

– Zwierzyniec się kłania!...

Roześmiała się.

– Rzeczywiście, to było zwierzynieckie powiedzenie. Ale pan się na mnie nie obraził?...

– Ależ nie!...

– No to dobrze, chociaż, gdyby się pan nawet obraził...

– To pani i tak niewieleby sobie z tego robiła... – dokończył ze śmiechem, ale śmiech ten miał w sobie coś nieszczerego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Powrót ks. metropolity Szeptyckiego.

Po długiej wędrówce powrócił wreszcie do kraju metropolita grecko-katolicki, ks. hr. Szeptycki. W dniu 26. zeszłego miesiąca ks. metropolita Szeptycki przybył do Wiednia, gdzie na dworcu kolejowym powitali go uroczyście członkowie wiedeńskiej kolonii ukraińskiej, ukraińscy posłowie do Rady państwa, duchowni grecko-katoliccy i t. d.

Wiceprezes Izby posłów Romańczuk, radca sądu



Powrót metropolity Szeptyckiego: J. E. arcybiskup Andrzej Szeptycki, metropolita Rusinów galicyjskich

krajowego Jasienicki, poseł do Rady państwa Oleśnicki, wygłosili dłuższe przemówienia do metropolity, na które ten odpowiedział, dziękując, głęboko wzruszony. Generał-major Pawlisz wręczył metropolicie złotą plakietę, sporządzoną przez rzeźbiarza Terszczuka. Wśród dźwięków hymnu ukraińskiego wsiadł metropolita, obrzucany kwiatami, w towarzystwie wiceprezesa Izby i biskupa ks. Kocyłowskiego do powozu i udał się do cerkwi grecko-katolickiej św. Barbary, gdzie celebrował sumę, na której między innymi był także obecny kierownik ministerstwa oświaty Ćwikliński.



Braterstwo broni: Bawiący na kuracyi w Piszczanach oficerowie bułgarscy i Polacy.

Nowi sojusznicy koalicyi.

Na widowni wojny światowej pojawili się w ostatnich czasach nowi zapaśnicy: Chiny i... Siam. Oba te państwa, naturalnie pod naciskiem Anglii, zdecydowały się wreszcie wypowiedzieć wojnę państwom centralnym. Wątpić jednak należy, czy wywrze to jakikolwiek wpływ na przebieg działań wojennych. Wprawdzie Chiny posiadają obecnie zreformowaną, na sposób europejski, nowoczesną armię, ale nie zechcą z pewnością, tak samo, jak dotychczas Japonia — wysyłać swych wojsk na tak niefortunny dla koalicyi front rosyjski. W każdym jednak razie mamy dwie nowe wojny: z Chinami i ze Siamem, a koalicya może się przynajmniej pocieszyć, że zyskała nowych sojuszników.

Braterstwo broni.

Dzięki obecnej wojnie zetknęły się ze sobą narodowości, bliskie sobie pochodzeniem i uczuciami, ale dalekie rozmieszczeniem geograficznem. Mamy tu na myśli Polaków i Bułgarów, walczących razem ramię w ramię przeciw wspólnemu swemu wrogowi — „oswobodzicielce“ Rosyi. I nas i Bułgarów dużo krwi i łez kosztowała jej opieka i starania, by wszystkich Słowian połączyć pod swem berłem, a raczej knutem.

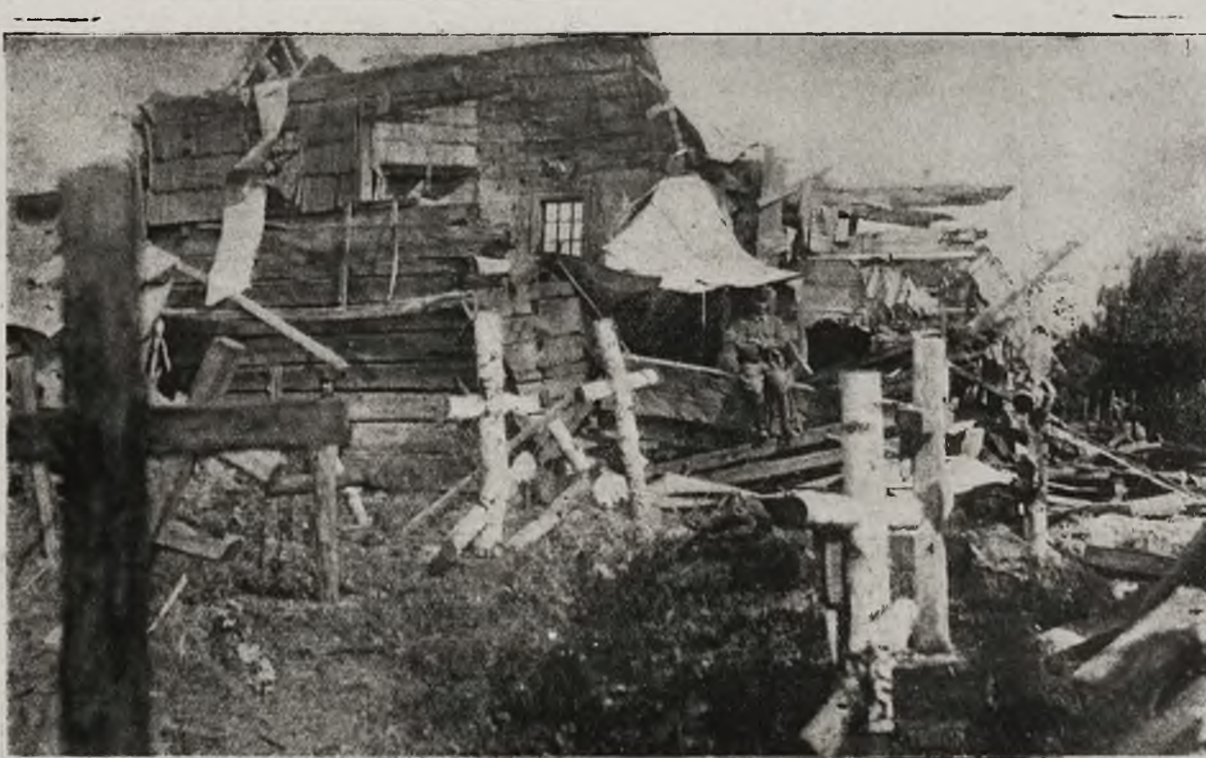
Te przeżycia i podobna dola zbliżyły też odrazu do siebie Polaków i Bułgarów, którzy znaleźli się na kuracyi w słynnem zdrojowisku, Piszczanach na Węgrzech. Między Bułgarami z jednej strony, a ofi-



Nowi sojusznicy koalicyi: Władca Siamu w uroczystym stroju na szczerozłotym tronie



Z frontów bojowych: Strzaskane drzewo w pewnej miejscowości Galicyi wschodniej.



Z frontów bojowych: Zniszczona kwatera rosyjska na cmentarzu wojennym w Galicyi wschodniej. (Woj. kwat. pras.)

cerami Polakami, należącymi tak do armii austryackiej, jak i do Legionów, panuje szczera sympatya i przyjaźń, której dowodem zamieszczona w niniejszym numerze wspólna fotografia.

Zniszczone zabytki architektoniczne.

Toczące się na zachodnim froncie zacięte walki, prowadzone wszystkimi środkami, na jakie zdobyła się współczesna technika wojskowa, pokryły zgliszczami ziemię i obróciły w gruzy najwspanialsze dzieła architektury i sztuki. Między innemi w czasie ostatnich walk została doszczętnie zniszczona przez pożar słynna katedra w St. Quentin, o czem korespondent agencyi Havasa podaje następujące szczegóły:

„Wieczorem 15 sierpnia, z nadejściem zmierzchu, zauważono z linii francuskich, znajdujących się w niektórych miejscach w odległości mniej niż kilometra od pierwszych domów w St. Quentin, że katedrę otaczają kłęby dymu. Wkrótce buchnęły płomienie. Pożar szerzył się szybko i stawał się coraz gwałtowniejszy. Około północy wspaniały gmach, panujący nad całą okolicą, zniknął wśród płomieni, których czerwoną łunę widziano z odległości przeszło 30 kilometrów. W południe, 16-go sierpnia, katedra była jeszcze otoczona dymem. Cała jej nadbudowa i dach zniknęły. Absyda runęła. Jak się zdaje, pozostały w całości tylko cztery osmolone ściany, oraz pokruszone, zniszczone i przepalone wieże jednego z największych kościołów francuskich“.



Zniszczone zabytki architektoniczne: Gruzy słynnej katedry w St Quentin i jej otoczenia Fot. Bufa).

Z frontów bojowych.

Walki ostatnich tygodni nie przyniosły żadnych strategicznych zmian w sytuacyi na poszczególnych terenach wojny. Linie bojowe przesunęły się tu i tam o kilka kilometrów, nigdzie jednak nie udało się przełamanie frontu w większym stylu, któreby dotychczasową walkę pozycyjną zamieniło na walkę ruchową, dającą jedynie możność osiągnięcia sukcesów strategicznych. Wobec tego postawić trzeba pytanie, jaki cel ma koalicya, szturmując tak bezwzględnie fronty, o których przełamaniu we właściwem tego słowa znaczeniu po poprzednich doświadczeniach myśleć nie może? Chodzi jej może jedynie o zużycie jak największe sił przeciwnika. Obecnie więc rozgrywa się partya o to, kto pierwszy sięgnie do ostatnich rezerw, czy koalicya, prowadząca ofenzywę, czy mocarstwa centralne, broniące swych linii. Taka metoda walki jest jednak bardzo kosztowna i wymaga olbrzymich rezerw u tego, kto ją chce przeprowadzać. Możliwe, iż koalicya liczy na to, iż do ostatecznego obalenia zapory, po rozkruszeniu jej przez własne siły, decydujący cios wykona przy pomocy rezerw amerykańskich. Na razie daleka do tego droga, gdyż wojska amerykańskie są jeszcze z tamtej strony Oceanu i tak prędko w odpowiedniej ilości do Europy przewieźć ich nie będzie można.

Przy obecnym stanie metody obrony, strategia



Nowi sojusznicy koalicyi: Artylerya chińska.

wyczerpania i zużycia ma mało widoków powodzenia. Sposoby ataku i obrony z biegiem czasu uległy zasadniczej zmianie. Przykład mamy na tem, iż w czasie ataków Niemców na Verdun, ubiegłego roku, atakujące kolumny poniosły znacznie mniejsze straty niż obrońcy. Metoda, która dała takie rezultaty, polegała na odpowiednim zmasowaniu artyleryi, sile ognia przygotowawczego, wystudyowanem aż do najdrobniejszych szczegółów współdziałaniu piechoty z artylerya. Podobny przykład daje zdobycie np. przyczółka Skrobowa, na północ od Baranowicz w ubiegłym roku, gdzie każde posunięcie kolumn atakowych zostało z góry wystudyowane na poza frontem zrobionej, sztucznej imitacyi pozycyi rosyjskich. Atakujący mieli bardzo małe straty, podczas gdy obrońcy przeciwnie, musieli ponieść wielkie ofiary. Pod Verdun każda pozycya z powodu bliskości fortów musiała być za wszelką cenę trzymana, rezerwy musiały być podciągane tuż za pierwszą linię, a co za tem idzie, straty były olbrzymie.

Jeszcze bardziej zmieniła się sytuacya wobec zastosowania nowych metod obrony w ostatnich walkach. Elastyczność frontu, wprowadzona obecnie przez Niemców, rozluźnienie stałego systemu rowów, stworzenie szerokich przestrzeni obrony, słabe obsadzenie pierwszej linii i specyalny sposób masowania rezerw i artyleryi stworzyły nowe warunki, które zużycie sił doprowadzą do minimum. Tem samem strategia zużycia, o ile koalicya chce ją w obecnej fazie wojny stosować, nie prędko da się urzeczywistnić.

Ataki angielskie we Flandryi mają dwa cele: dostanie się do Roulers i zdobycie przejść przez Lys, a przedewszystkiem Menin. Dopiero, gdy te punkty zostałyby zdobyte, mogłoby nastąpić zagrożenie frontu niemieckiego we Flandryi i w kierunku na Lille. Atak na Roulers zyskał cokolwiek na terenie, ale Anglicy nie posunęli się poza linię rzeczki Martje Vaert, poza którą dopiero rozpoczyna się właściwa strefa obronna niemiecka. Nadto, jak długo las Houthulst i odcinek Steenbeck znajduje się w rękach niemieckich, każde posuwanie się Anglików naprzód ku Langemarck i Roulers jest silnie zagrożone od północy. Atak w kierunku przejść przez Lys został zapoczątkowany wysadzeniem pozycyi pod Wytschaete. Posunął on się do lasu Herenthage na zachód od Gheluveld i na razie nie wykazuje większych sukcesów.

Bardzo charakterystycznem jest, że Anglicy w kierunku na Hollebeke-Warneton nie osiągnęli żadnych sukcesów. Widocznie ciężkie działa z pod Lille uniemożliwiają im posuwanie się naprzód. O ile jednak nie uda im się od północy Lille zaatakować, wszelkie wysiłki Kanadyjczyków w kierunku na Lens nie dadzą im żadnych korzyści strategicznych.

Celem ofenzywy pod Verdun jest zagrożenie frontu argońskiego, oraz rozszerzenie terenu fortecznego pod samą twierdzą. Ataki jako dalszy cel mają posunięcie się brzegiem Mozy ku Dun i na



Z frontów bojowych: Oddział austryackiego trenu, pławiący konie podczas odpoczynku pod Czerniowcami. (Fot. „Bufa".)



W stolicy Litwy: Cesarz Wilhelm przed frontem kompanii honorowej na dworcu kolejowym we Wilnie (Fot. „Bufa".)

północny zachód ku Montfaucon. Na razie zdobycze terenowe francuskie nie osiągnęły jeszcze linii strategicznej na jakiej stali Niemcy przed swoją przeszłoroczną ofenzywą na twierdzę. Obecne walki toczą się wzdłuż rzeczki Forges i na wschodnim brzegu Mozy na linii Samogneux - Beaumont - las Fosses. Zysk terenowy ma tu raczej wartość moralną przez zdobycie szeregu wzgórz, które utrwaliły się w historyi wojny krwawemi walkami.

Nad Soczą sytuacya po cofnięciu się w północnym odcinku sił austryackich weszła znowu na jakiś czas w stadyum przygotowawcze, gdyż Włosi



Teatr nowoczesny ze Lwowa: Zofia Dobrzańska, artystka lwowskiego Teatru miejskiego.

będą musieli dokonać przesunięcia swej artyleryi na odnośnym odcinku zanim na nowo rozpoczną operacye.

Na froncie wschodnim nastąpiła stagnacya. Poza miejscowemi walkami operacye na wielką skalę ustały. Rosyanom udało się przez gwałtowne kontrataki powstrzymać zagrożenie wojsk rumuńskich koło Soveji. Natomiast front północny wykazuje znowu w ostatnich czasach pewne ożywienie.

W ostatnich dniach dowiedzieliśmy się, że prowadzone są jeszcze operacye wojenne na kilku innych terenach, mało znanych. Mianowicie szczepy arabskie zagroziły Fezowi, bijąc Francuzów, zaś inne plemiona arabskie, stojące po stronie koalicyi, walczą przeciw Turkom w południowej Arabii. Bronią się jeszcze także Niemcy w południowej Afryce.



Zniszczono zabytki architektoniczne: Gruzy domów na placu Ratuszowym w St. Quentin. (Fot. „Bufa".)





Obrazki wojenne: „Minka“, faworytka 20. pułku piechoty. Komendant jednego z batalionów 20 p. p. przed kwaterą batalionową na bukowińskim froncie

Teatr nowoczesny ze Lwowa.

W ostatnich tygodniach zawiązała się we Lwowie drużyna dramatyczna, która zamierza w najbliższym czasie rozpocząć tournée artystyczne po większych miastach prowincyonalnych. Impreza, założona na poważne rozmiary, wniesie niewątpliwie w zaciszne w dobie obecnej życie prowincyonalne sporo kultury i w swym przelocie od miasta do miasta ułatwi publiczności poznanie najcelniejszych utworów swoich i obcych. Doborowy zespół artystyczny, rozporządzający pierwszorzędnemi siłami scen stołecznych, daje wszelką rękojmię, że „Teatr nowoczesny“ stanie na prawdziwej wyżynie pod każdym względem. Gwarancyę tego dają nazwiska, wśród których na pierwszym planie widzimy Ludwika Fritschego i Zofię Dobrzańską. Te dwa nazwiska, nadto dobrze znane ze scen stołecznych,



Teatr nowoczesny ze Lwowa: Kierownik nowego zespołu, Ludwik Fritsche, artysta Teatru miejskiego we Lwowie

starczą za siebie i nie wymagają szerszej reklamy. Fritsche, pierwszorzędny artysta sceny lwowskiej, jest artystycznym kierownikiem „Teatru nowoczesnego“. Znakomity artysta, cieszący się nadzwyczajną sympatyą publiczności lwowskiej, dzięki wysokim walorom swego talentu scenicznego, już przez swój udział w tej imprezie zapewnia jej powodzenie. Zofia Dobrzańska — której podobiznę obok podobizny Fritschego podajemy — jest ulubienicą lwowskiej publiczności. Niezwykle sumienna i utalentowana artystka w drużynie lwowskiego teatru zajmowała jedno z pierwszych miejsc, a jej każdorazowy występ wśród teatralnych bywalców cieszył się zawsze rzetelnem, zasłużonem uznaniem. Obok tych obu nazwisk grupują się w nowo zawiązanej imprezie i inne. W skład jej wchodzą pp. Burzyńska,



Z życia w Królestwie Polskiem: Uczestnicy amatorskiego przedstawienia w Starachowicach, w ziemi Radomskiej, na dochód Macierzy szkolnej. (X) Reżyser, artysta Teatru miejskiego w Krakowie, Wacław Szymborski.

Lipska i szereg innych znanych sił artystycznych. Drużyna „Teatru nowoczesnego“ rozpoczyna tournée z pierwszym tygodniem września — o czem doniosą dzienniki.



Zniszczone zabytki architektoniczne: Wnętrze silnie uszkodzonego francuskimi pociskami kościoła św. Marcina w St. Quentin. (Fot. „Bufa“.)

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: **Marya Segeny.**

13

Tymczasem w salonach pułkownika Robert działy się rzeczy dosyć ciekawe.

Po rozmowie z Jerzym w ogrodzie willi, kobieta w dominie, a była nią Olivia, zaintrygowana hałasem i podniesionymi głosami, pospieszyła szybko przekonać się, co było powodem tego niezwykłego podniecenia. Miała nadzieję, że powrót barona d'Esclairs z biur ministerstwa witany był tak owacyjnie i drżała z niecierpliwości dowiedzenia się szczegółów, związanych z tem przedsięwzięciem.

Kiedy dobiegła do willi, panowało tam zamieszanie i ruch nie do opisania. Olivia z trudem przecisnęła się przez ten tłum rozgorączkowany, skąd dobiegały ją raz po raz wykrzykniki i nawoływania:

— Bonnet! To Bonnet d'Esclairs! Baronie! Co znaczy to opóźnienie? Przyszedł nareszcie! D'Esclairs, opowiadaj, co się stało!

Młoda kobieta zauważyła natychmiast, że baron był śmiertelnie blady.

Szybkim ruchem zerwała maskę i energicznym wysiłkiem, potrącając zebranych, docisnęła się do niego.

Baron, ujrzawszy ją przy sobie, pochwycił jej ręce i odetchnął z ulgą, witając ją radośnie:

— Ah! To ty! To ty, kochana Olivio! Jakże to dobrze, że jesteś tutaj! Wyratuj mnie, przez litość, od tych ludzi, który mnie zamęczają swoją ciekawością!

— Ale cóż to się stało? — zapytała młoda kobieta, niespokojnie patrząc na niego.

— Rzecz okropna doprawdy! Nie mogę oprzytomnieć jeszcze — odparł baron, przesuwając rękę po czole.

— Wracasz z ministeryum?

— Tak, wracam z ministeryum. Przepędziłem tam kilka godzin w śmiertelnym niepokoju.

— Dlaczego?

— Nie, nie, tu mówić nie mogę! Chodź, Olivio. Musimy zastanowić się, obmyśleć coś pewnego, bo teraz nie wątpię ani na chwilę, że Cypryan Leduc ma słuszność.

— Mój Boże! Więc grozi ci naprawdę niebezpieczeństwo — zawołała młoda kobieta.

— Morderca, który popełnił zbrodnię w Saint-Nicolas i w lasach Ardeńskich, znajduje się w Paryżu. Niewiadomo jednak, gdzie się ukrywa i gdzie czyha na nowe ofiary. Ten człowiek widać postanowił wyniszczyć doszczętnie całą rodzinę Bonnet d'Esclairs.

Mówiąc to, baron pociągnął Olivię przez tłum, który niechętnie rozstępował się przed nimi.

Doszli w ten sposób do lewego skrzydła willi, gdzie młoda kobieta powodowana ostrożnością, zarezerwowała sobie pokoik oddalony, od którego klucz nosiła przy sobie.

Weszli więc tam, niewidziani przez nikogo i Olivia, usiadłszy na kanapie, wskazała miejsce towarzyszowi.

— Jakże dobrą jesteś, Olivio — wyrzekł baron z serdeczną wdzięcznością — że się tak interesujesz moją sprawą. Wierz mi, że umiem ocenić niepokój twój i wzruszenie, wywołane świadomością grożącego mi niebezpieczeństwa.

— Nie mówmy o tem — przerwała młoda kobieta z lekkiem zmieszaniem. — Mam nadzieję zresztą, że to niebezpieczeństwo nie przedstawia się jeszcze tak groźnie.

— Mylisz się, Olivio...

— Skąd możesz mieć tę pewność?

— To, co się stało, jest tak nieoczekiwane doprawdy, że wydaje się wprost rzeczą nieprawdopodobną i fantastyczną. Posłuchaj mnie tylko kochana przyjaciółko, a kiedy ci opowiem zajście dzisiejszego wieczoru, osądzisz sama sytuację i przekonasz się, że obawy moje są zupełnie słuszne i oparte na pewnych podstawach.

I w krótkich, a zwięzłych słowach baron opowiedział młodej kobiecie sprawę zniknięcia depeszy i dziwną rolę, jaką odegrał w tem wszystkiem woźny z ministeryum marynarki, Bruchon.

Usłyszawszy to nazwisko, Olivia zadrżała mimowoli i wpatrzyła się w twarz barona zdumionem spojrzeniem.

— Bruchon! — powtórzyła z dziwnem brzmieniem w głosie — Bruchon?

— Czy znasz tego człowieka? — zapytał baron, zdjęty nagłą ciekawością.

— Nie znam — odparła młoda kobieta. — Ale jeżeli się nie mylę, ten człowiek mieszka w Belleville i jest mężem starszej kobiety, mającej tam zakład modniarski...

— A tę kobietę znasz może, Olivio?

— Tak, znam ją, widuję niekiedy i przed chwilą właśnie...

— Była tutaj?

— Tak jest.

— I w jakimże celu przybyć tu mogła? — zapytał baron, silnie zainteresowany.

— Nie wiem tego, mój kochany — odparła młoda kobieta, siląc się na spokój.

— Mówiłaś z nią?

— Krótką chwilę...

— Cóż ona ci miała do powiedzenia? — badał dalej baron d'Esclairs.

Olivia była mocno zmieszana; nie śmiała odpowiedzieć otwarcie na zadane jej pytanie i napróżno szukała w myśli sposobu wytłumaczenia się.

Baron patrzał na nią zdziwiony i niespokojny, ale wzruszenie, jakiemu podlegał od początku rozmowy i myśl o niebezpieczeństwie, jakiem był zagrożony, odbierały mu do tego stopnia przytomność umysłu, iż zatracił zupełnie jasność sądu i obserwacyi.

— Uspokój się, Olivio! — rzekł po chwili z pewną rezygnacyą w głosie. — Widzę, że te wszystkie wydarzenia zdenerwowały nas niepotrzebnie i myślę, że, jak na teraz, powinniśmy odłożyć zgłębienie tej sprawy. Zobaczę się jutro z Henrykiem Berthaud i poproszę go, aby zasięgnął rady u prokuratora. Tak będzie najlepiej, nieprawdaż?

Powstał, zamierzając już wyjść z pokoju, ale na progu przystanął, mówiąc jeszcze:

— Jednakże jest pewien punkt, na który, o ile mi się zdaje, powinniśmy zwrócić baczniejszą uwagę.

— Co takiego?

— Powrócimy teraz do salonu, bo inaczej uczynić nie można. Otoczą mnie natychmiast znajomi i zadawać mi będą różne pytania. Proszę cię więc, droga Olivio, obserwuj dobrze przez ten czas, to, co się dziać będzie wokoło nas. Badaj, uważaj, słuchaj, a może zauważysz coś, co pomocnem nam będzie w naszej sprawie.

— Ale skąd tutaj, w willi pułkownika Robert — zaczęła niedowierzająco młoda kobieta.

— Nie wiem, dlaczego — przerwał jej gorączkowo baron — ale mam jakieś przeczucie, że tu właśnie ukrywa się ktoś, który nas śledzi. Powierzam ci więc zadanie odkrycia tego człowieka, choćby się nawet ukrywał pod maską i kostyumem.

Olivia spojrzała ze zdziwieniem na przyjaciela, jak gdyby jego słowa obudziły w niej myśl nagłą.

— Kostyum!... Maska... — powtarzała powoli, zamyślając się głęboko.

— Zapewne, moja kochana... Czyż ci się to wydaje nieprawdopodobnem?

— Nie, ale to, coś powiedział, przypomniało mi... To szczególne jednak... Na razie nie zwróciłam na to uwagi... ale teraz uderzyło mnie.

— Co takiego?

— Przed chwilą pojawiły się w głównym salonie dwie osoby, przebrane w strój czarodziei.

— Czy były zamaskowane? — zapytał niespokojnie baron, chwytając za rękę młodą kobietę.

— Tak, były zamaskowane.

— Cóż ci ludzie tu robili?

— Prawie nic... w każdym razie nic szczególnego... Przepowiadali przyszłość, wróżyli wszystkim, którzy ich słuchać chcieli. Przyjęto ich owacyjnie i bawiono się nimi szczerze.

— Cóż się z nimi stało?

— Tego nie wiem. Nie zauważyłam nawet, kiedy znikli w tłumie.

— Trzeba koniecznie dowiedzieć się, Olivio, co się stało z tymi czarodziejami — zawołał baron niespokojnie. — Będziemy ich szukać. W razie potrzeby użyjemy powagi pułkownika Robert, aby zmusił ich do odkrycia twarzy i wymienienia nazwisk... A jeżeli odmówią...

Baron przerwał nagle i już nie dokończył rozpoczętego zdania. W tej samej chwili bowiem drzwi pokoju otworzyły się i stanął w nich jeden z czarodziei, o których mówiła młoda kobieta.

Błysk zadowolenia przebiegł po twarzy barona. Przypadek sam podsuwał mu doskonałą okoliczność do wykorzystania. Podszedł więc szybko do nieznajomego i ujmując jego ramię żywym ruchem, wyrzekł porywczo:

— Ah! Szukałem właśnie pana!... Chcę dowiedzieć się natychmiast...

— Czego pan pragnie się dowiedzieć? — odparł czarodziej, uśmiechając się dobrodusznie.

— Kto pan jest?...

— Kto jestem? Tylko tyle? Skoro panu mogę uczynić tę przysługę, to robię ją z całą przyjemnością — odparł czarodziej, zdejmując maskę. — Nie mam wcale potrzeby ukrywania mojej osoby przed panem, panie baronie.

Baron d'Esclairs cofnął się zdumiony.

— Leduc! Cypryan Leduc! — zawołał, zamieniając porozumiewawcze spojrzenie z młodą kobietą, niemniej od niego zdziwioną.

— Tak, to ja, panie baronie! — rzekł stary archiwista, kłaniając się.

— Po co pan tu przyszedł?

— Przyszedłem tu w interesie pana i pani — dodał, zwracając się do Olivii.

— Czy to żart, panie Leduc? — zapytał z lekkiem podrażnieniem w głosie baron Bonnet.

— Nie żartuję wcale, panie baronie, bo doprawdy, chwila nie nadaje się do tego zupełnie.

— Co pan przez to chce powiedzieć?

— Prowadzę tu grę bardzo niebezpieczną i niepewną może.

— Nie rozumiem pana.

— Cel, do którego dążę — ciągnął dalej Leduc poważnie — jest bardzo tajemniczy i nie odkryję go jeszcze nikomu. Życie moje, pana i tej pani, zależy od ścisłej ostrożności, którą zachować muszę. To tylko mogę panu powiedzieć...

— Czy naprawdę nie może się pan jaśniej wyrazić? — zapytał baron.

— Nie mogę dzisiaj nic więcej panu powiedzieć — powtórzył z naciskiem stary archiwista.

— Ale to niebezpieczeństwo, o którem pan wspominał?

— Jest wielkie, panie baronie. Daj Boże, abym je usunąć potrafił.

— Ale co robić, panie Leduc? Czy i ja nie mógłbym działać w tym kierunku... starać się je odwrócić...

Cypryan Leduc nie odpowiedział; nagłym ruchem pociągnął ku oknu Olivię i szepnął jej cicho do ucha:

— Zaobserwowałem i słyszałem wiele rzeczy. Niepewność, która zaciemniała mój umysł, rozwiała się. Wiem już teraz, kim pani jesteś!

— Pan wie? Pan? — zawołała młoda kobieta, blednąc silnie.

— Imię Olivia, jakie pani nosi — ciągnął dalej stary archiwista głosem cichym i szybkim — jest fałszywe! Urodziła się pani w Saint-Nicolas i nie tak dawno jeszcze mieszkała pani w Belleville u robotnika, którego nazywano Szymonem — stolarzem.

— Mój Boże! — szepnęła młoda kobieta, opierając się bezsilnie o niego.

— Czy to prawda? Czy to prawda? — nalegał Leduc, ściskając silnie jej rękę.

— Tak, to prawda.

— Ah! Wiedziałem, że się nie mylę — szepnął z ulgą stary archiwista. — Ale teraz strzeż się pani, strzeż się, na Boga! Otrzymałaś przed chwilą od pułkownika Robert pierścień z brylantem wielkiej wartości. Ma go pani na palcu...

— Tak.

— Otóż dziś jeszcze, tej nocy, kiedy pani powróci do siebie, trzeba natychmiast pierścień ten odesłać właścicielowi, rozumie pani...

— Ale kiedy... ten pierścień, jak pan sam mówił... jest wielkiej wartości...

— Tak, to prawda, ale to jest bez znaczenia. Jeżeli go pani zachowa...

Tu Leduc zatrzymał się i potrząsnął głową.

— Nie! Nic więcej już powiedzieć nie mogę, ale niech się pani nie waha, zaklinam! Czy mnie pani rozumie? A przedewszystkiem teraz niech się pani stara nie spotkać się już więcej z pułkownikiem, może w ten sposób uniknie pani niebezpieczeństwa.

Podczas tej szybkiej rozmowy baron d'Esclairs stał zniecierpliwiony przy drzwiach, starając się pochwycić choć kilka słów, zamienianych pomiędzy młodą kobietą a Cypryanem Leduc. Wkońcu, nie mogąc już opanować się, podszedł szybko i ujmując rękę Olivii, wyrzekł nerwowo:

— Proszę cię, moja kochana... skończ już tą rozmowę i powracajmy do salonu.

— Wracajmy, skoro sobie tego życzysz — odparła — ale wyznać ci muszę, że to, co usłyszałam teraz, tak mnie nieprzyjemnie przejęło, że pragnę jak najprędzej znaleźć się w domu.

— A więc pożegnasz się z pułkownikiem i odprowadzę cię do twojego powozu...

— Ale ty sam, baronie?

— Oh! Ja pozostanę jeszcze! Ta sytuacya staje się nie do zniesienia i muszę się dowiedzieć wszystkiego — odparł baron porywczo.

— Pan zostaje? — odezwał się Leduc z zaniepokojeniem. — Nie powinien pan tego czynić!

— Dlaczego? — zapytał baron, patrząc wyniośle na starego archiwistę.

— Nie powinien pan tu dłużej pozostawać — powtórzył Leduc. — Zarówno dla swojego, jak i pani bezpieczeństwa. Nie chciałbym, aby się pan spotkał z tym człowiekiem...

— Czy sądzi pan, że się go lękam? — odparł ironicznie baron d'Esclairs.

— Nie myślałem o tem wcale, zaręczam panu, ale uważam, że ostrożność wymaga tego...

— Ah! Już dosyć, mój panie! Dosyć! — przerwał żywo baron. — Pan radzi mi uciec się do ostrożności, która podobna raczej do tchórzostwa i podłości!

— Jak się panu podoba — odpowiedział poważnie Cypryan Leduc. — Uważałem za obowiązek ostrzedz pana barona.

— Czy pan nie ma mi już nic więcej do powiedzenia?

— Nie, panie baronie.

— Do widzenia więc, panie Leduc — rzekł baron, wychodząc. — Mam nadzieję, że zobaczymy się, ale wtedy, kiedy pan zdecyduje się być jaśniejszym i mniej skąpym w słowach.

Stary archiwista chwilę patrzał za odchodzącymi, wkońcu wzruszył ramionami i wyszedł powoli za nimi.

ROZDZIAŁ XVI.

Baron d'Esclairs i Olivia długą chwilę przebiegali salony, zanim spotkać zdołali pułkownika Robert.

Jak tylko ten ostatni ich dostrzegł, podszedł do nich żywo z rozpromienioną twarzą i błyszczącemi oczami.

— Ah! Szukałem was właśnie! — zawołał z serdeczną prostotą. — Dopytywałem się wszędzie o was i zacząłem już się niepokoić waszem nagłem zniknięciem.

— Olivia była cokolwiek zmęczona i cierpiąca! — odparł baron niechętnie — Szukaliśmy właśnie pana, aby się pożegnać.

— Odjeżdżacie już?

— Oh! Ja pozostaję jeszcze! — odpowiedział stanowczo baron — Odprowadzę tylko Olivię do powozu i powracam natychmiast.

— A to doskonale! — zawołał wesoło pułkownik Robert — Ale wybaczy pan mojej szczerości, kochany baronie, jeżeli powiem, że chodzi mi głównie o obecność pani Olivii! Pragnę bardzo, aby pozostała jeszcze z moimi gośćmi.

— Niech pan nie nalega! — szepnęła młoda kobieta.

— No, dobrze! Dobrze! Skoro inaczej być nie może, muszę się z tem zgodzić. Ale pozwoli pani, że zastąpię barona, bo nie chcę, aby mi wydarł te ostatnie chwile miłego towarzystwa pani! — dodał pułkownik, patrząc gorąco w oczy Olivii.

— Pan naprawdę tego pragnie?

— Błagam panią, nie odmawiaj mi tej drobnostki! — rzekł pułkownik, ściskając jej rękę.

— Niechże więc tak będzie! — odparła młoda kobieta, ujmując ramię pułkownika — Jesteś wolny, baronie, możesz powracać do salonu i korzystać z dalszej zabawy.

Baron skłonił się z uśmiechem, a Olivia, wsparta na ramieniu gospodarza domu, skierowała się do głównego wyjścia.

— Czy byłbym na tyle szczęśliwy, aby módz wzbudzić zazdrość w baronie? — szepnął po chwili pułkownik Robert, pochylając się ku swojej towarzyszce.

— Oh! to niemożliwe! — odpowiedziała młoda kobieta, uśmiechając się lekko.

— Pani nie zechce mnie nigdy pokochać?

— Nie mogę!

— Pani jest zanadto okrutna doprawdy!

— Niech pan powie, że jestem tylko ostrożna... toby było słuszniejsze... bo, gdyby baron domyślił się kiedy...

— Czego się pani obawia? — zapytał pułkownik, gorąco ściskając rękę Olivii.

— Baron jest bardzo niebezpiecznym współzawodnikiem. Uchodzi za najlepszego fechtmistrza w całym Paryżu. Czy nie powinnam być wobec tego ostrożną?

— Czyżby się pani naprawdę lękała o mnie?

— A gdyby tak było? Coby pan na to powiedział? — rzuciła wyzywająco młoda kobieta.

— Jeżeli tak jest — podjął gorąco pułkownik po chwili milczenia — zaręczam pani, że ta zdolność barona w niczem na mnie wpłynąć nie może. Chętnie pokażę mu, jak w Indyach używa się ostrej broni.

Olivia zadrżała i odsunęła się od niego mimowolnym ruchem.

— Widzi więc pan — rzekła zmienionym głosem — że mam słuszne powody do obawiania się. Pan jest strasznym człowiekiem!

— Niech pani nie odbiera ostatniej nadziei — szepnął nalegająco pułkownik.

— Proszę zatem uspokoić się i nie przerażać mnie w ten sposób.

— Dobrze! Postaram się o to. Ale ja jeszcze panią zobaczę, nieprawdaż? Przyrzeka mi to pani?

Doszli już byli do ostatniego stopnia schodów peronu, przed którym oczekiwał powóz Olivii.

— Przyrzeka mi pani? — powtórzył dziwnym głosem pułkownik, ujmując dłoń młodej kobiety i ściskając ją silnie.

Olivia w tej chwili wydała lekki okrzyk.

— Co pani się stało? — zapytał niespokojnie pułkownik.

— Uścisnął mnie pan tak mocno, że uczułam ból w ręce — odpowiedziała Olivia. — To ten pierścień pana winien wszystkiemu.

— Oh! Najmocniej panią przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię. Ale to już przeszło, prawda?... Olivio! Czekam na odpowiedź — powiedz mi, że wkrótce zawezwie mnie pani do siebie...

— Ah! Nie mówmy już o tem! — żachnęła się niecierpliwie młoda kobieta. — Nie jestem w stanie dać panu żadnej odpowiedzi... Nigdy jeszcze nie odczułam coś podobnego... Żegnam pana!...

— Nie!... Nie... do widzenia... do jutra...

Olivia nie słyszała już ostatnich słów pułkownika. Szybko wskoczyła do powozu i zatrzasnęła drzwiczki i wkrótce ekwipaż zniknął na zakręcie alei.

Pułkownik pozostał chwilę jeszcze na peronie, jak gdyby zatopiony w ważnej jakiejś myśli, poczem otrząsnął się nagle z zamyślenia i skierował się do powrotu.

— Doskonale! Doskonale idzie! — uśmiechnął się ironicznie. — Z tą już sprawa załatwiona, teraz muszę czuwać, aby mi tamten nie umknął.

Tymczasem w willi czyniono już przygotowania do kolacyi. Goście zawezwani szli tłumnie ku pokojom, gdzie oczekiwały stoły, zastawione wytwornemi potrawami, a około których kręciła się służba w liberyach o świecących guzikach, z uprzejmym ukłonem wskazująca każdemu miejsce przeznaczone. Gwarno tu było i wesoło. Niczem niepowstrzymana wesołość i swoboda rozweselała twarze wszystkich gości, wywoływała głośne wybuchy śmiechu kobiet, zachęcała do rozmów poufnych i gorących.

Po sali rozlegał się teraz brzęk talerzy i kryształów, a do dusznej atmosfery, przesyconej perfumami różnorodnemi, mieszał się zapach mięsiw wyszukanych i wina musującego w szklankach.

Baron d'Esclairs, otoczony znajomymi, opowiadał po raz dziesiąty może wydarzenie, zaszłe w ministeryum marynarki, wypijając niezliczoną ilość szklanek szampana, które w sposób bardzo gwałtowny działały na jego żywe i nerwowe usposobienie.

Silne podrażnienie malowało się w jego ruchach i twarzy, oczy błyszczały wyzywająco i widać było, że gotów był o najmniejsze, bardziej drażliwe słowo wywołać kłótnię. Ale nikt z obecnych nie zdradzał ochoty dotrzymania mu placu, bo sława jego zwycięskich pojedynków aż nadto wszystkim była znaną.

W pewnej chwili, pułkownik Robert, który czuwał nad porządkiem w sali, jako troskliwy i uprzejmy gospodarz domu, przeszedł obok barona.

Spojrzenia ich zmierzyły się ostro. Jednakże pułkownik zgasił prędko płomień, wybiegający mu z oczu i uśmiechnął się lekko.

Uśmiech ten, złośliwy i pełny ukrytej ironii, dawał wrażenie obelgi.

Barou d'Esclairs zadrżał, jak gdyby mu kto wymierzył policzek.

W pierwszej chwili zdziwienie było tak silne, że odebrało mu przytomność umysłu. Czyżby się jednak mylił? Ale nie, zrozumiał przecież dobrze obelżywą intencyę tego spojrzenia i uśmiechu.

— No i cóż, baronie? — odezwał się swobodnie pułkownik. — Sądzę, że zapomniał pan już o tem dziwnem zajściu w ministeryum marynarki? Eh! Co znowu! Herb pana nie potrzebuje jeszcze ozłocenia i te nędznych kilka milionów jakiegoś awanturnika nie mogą wpłynąć na sławę i znaczenie pana.

Słowa te były wypowiedziane tak gryzącym tonem i podkreślone spojrzeniem rozmyślnie zuchwałem i prowokującem, że baron d'Esclairs nie mógł powstrzymać gniewnego zaklęcia i pochwycił brutalnie ramię mówiącego.

— Pułkowniku! — zawołał głosem, drżącym od wściekłości — jak widzę, stał się pan nagle dziwnie złośliwym i ironicznym i mojem zdaniem, herb mój tutaj nie ma nic do czynienia...

— Jestem tego samego zdania, kochany baronie — odparł zimno pułkownik.

— Ale mówi pan to takim tonem — unosił się dalej baron d'Esclairs.

— Który się panu nie podoba?

— Oczywiście.

Początek tego starcia zadziwił niemało gości, zebranych w tej części sali jadalnej. Zapanowało nagle milczenie i wszyscy spoglądali po sobie, zdumieni i zaciekawieni zarazem.

Pomiędzy gośćmi znajdowały się dwie osoby, które chciwiej jeszcze śledziły zapowiadającą się sprzeczkę, starając się zbliżyć jak najwięcej do barona d'Esclairs i gospodarza domu. Byli to obydwaj czarodzieje w maskach na twarzy.

Cypryan Leduc stanął tuż za plecami barona, drugi zaś przysunął się do pułkownika.

— Raz jeszcze ostrzegam pana! — szepnął stary archiwista, nachylając się nad baronem — Niech pan zapanuje nad sobą! Ta kłótnia do niczego dobrego doprowadzić nie może!

— Niech pan nie przecenia tego wydarzenia. — rzekł drugi czarodziej do ucha pułkownika.

Ale obydwaj przeciwnicy tak byli zajęci sobą, że nie zwracali najmniejszej uwagi na te ostrzeżenia,

Pułkownik wyniośle wzruszył ramionami i podszedł bliżej jeszcze do barona.

— Ah! Kochany baronie! — zawołał tym samym ironicznym tonem — Naprawdę, zmartwiony będę, jeżeli panu sprawiłem przykrość. Ale zdaje mi się, że szampan zaciemnił cokolwiek umysł pana i jutro będzie pan zmuszony przyznać się do winy!

— Jutro... do winy... ja... — powtórzył d'Esclairs z wybuchem wściekłości.

— A przytem — ciągnął dalej pułkownik Robert spokojnie — czyż kłótnia pomiędzy nami powinna mieć miejsce? Niema nawet o czem mówić. Spotkaliśmy się już raz przypadkowo ze szpadą w ręku i baron wie dobrze, że niechętnie przystąpiłbym z nim do walki — nieprawdaż baronie?

Ażeby opisać to, co się działo w wzburzonym umyśle barona, trzebaby wiernie oddać zuchwały i wyzywający ton, podkreślający każde słowo pułkownika. Głos był pozornie spokojny ale usta składały się w grymas pogardliwy, a spojrzenie błyszczało groźbą. Rzecby można, że pułkownik rozmyślnie starał się suggestyonować swojego przeciwnika i nigdy jeszcze może d'Esclairs nie odczuł tak przykrego wrażenia, jak w tej chwili.

— Dosyć już! — zawołał, wychodząc zupełnie z równowagi — Dosyć już pułkowniku! Być może, że jestem pijany, jak to pan łaskawie twierdzi, ale, dzięki Bogu, umiem jeszcze zrozumieć intencye pana. Pan chce pojedynku ze mną — czy tak?

— Ja? — zdziwił się pułkownik Robert, patrząc z uśmiechem na przeciwnika.

— Wie pan jednakże, że nie jestem człowiekiem, który się cofa w takiej okoliczności.

— Zapewne!

— I jeżeli zechce, to jutro, mój panie... — wyrzekł silnym głosem d'Esclairs.

Pułkownik powstrzymał go ruchem ręki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Odpowiedź Wilsona na notę papieża.

Amerykańskie poselstwo w Hadze ogłosiło odpowiedź prezydenta Stanów Ziednoczonych na notę pokową papieża. Odpowiedź Wilsona powiada pomiędzy innemi:

„Każde serce, które przez straszną wojnę nie stało się jeszcze zatwardziałem, musi się wzruszyć tą gorącą odezwą Jego Świątobliwości i musi odczuć szlachetne pobudki tego kroku. Ludzkość pragnie z utęsknieniem wstąpić na drogę pokoju, którą Ojciec św. wskazuje nam z głębi swojego przekonania. Ale byłoby nierozsądkiem wejść na tę drogę, jeżeli nie wiedzie ona do zamierzonego celu. Odpowiedź nasza musi opierać się na poważnych faktach i tylko na faktach. Walczymy nie tylko o zawieszenie broni, ale i o silny i trwały pokój. Nie można narażać się na ponowne męki. Jego Świątobliwość proponuje, ażebyśmy powrócili do status quo, ażeby nastąpiło ogólne wyrzeczenie się (nie powiedziane w telegramie: czego — chyba więc aneksyi? Uwaga red.), ogólne rozbrojenie za zgodą wszystkich narodów, polegającą na przyjęciu zasad sądownictwa rozjemczego, ażeby za powszechną zgodą poręczona była wolność mórz, ażeby terytoryalne żądania Francyi i Włoch, trudne zagadnienia bałkańskie i przywrócenie Polski zostały przeprowadzone przy największem o ile możności uwzględnieniu politycznych i narodowych życzeń ludów.

Jasnem jest, że żaden kraj nie urzeczywistni tego programu, jeżeli z przywróceniem status quo nie zostanie dla niego utworzona silna i wolnościowa podstawa. Celem tej wojny jest oswobodzenie ludów od groźby organizacyi militarnej, którą kieruje nieodpowiedzialny rząd, a która potajemnie ma na celu opanowanie świata i zaczęła już ten plan wykonywać, nie bacząc na uświęcone zobowiązania traktatowe, która wybrała chwilę wojny i zadaje niespodziewane ciosy, która przed niczem się nie cofa, która pogrążyła cały kontynent w morzu krwi, przelewa krew nie tylko żołnierzy, ale kobiet i dzieci — potęga, którą obecnie przyprowadzono do stanu nieruchomości, która jednakże nie została pobita. Tą potęgą nie jest naród niemiecki, lecz bezwzględni władcy ludu niemieckiego.

Nic nas nie obchodzi, jeżeli ten wielki naród cierpi pod panowaniem swojem, lub godzi się na to panowanie, ale obchodzi nas to, ażeby narody reszty części świata nie potrzebowały z tą potęgą mieć stosunków pokojowych. Przywrócenie tej potęgi w myśl zamiarów Jego Świątobliwości będzie, zdaniem naszem, zarazem odnowieniem jej polityki i trzeba stworzyć trwały związek narodów, któryby umożliwił, by potęga owa nie używała ludu niemieckiego jako narzędzia.

Czy można pokój oprzeć na odbudowaniu tej potęgi, albo na jakiemś słowie honoru, które ona dałaby z powodu jakiegoś traktatu? Wszyscy odpowiedzialni mężowie stanu muszą teraz przekonać się, jeżeli już poprzednio się nie przekonali, że nie można myśleć o pewnym pokoju, który przynosi jednym narodowe korzyści, drugim straty.

Naród amerykański doznał krzywdy nie do zniesienia ze strony rządu niemieckiego. Ale naród amerykański nie będzie mścić się na narodzie niemieckim, który w tej wojnie sam ucierpiał wiele. Rząd amerykański sądzi, że pokój musi opierać się na prawie ludów, a nie na prawie rządów, na prawie wielkich i małych, słabych i najsłabszych, na równych prawach, na wolności, na honorze, na samorządzeniu się i współudziale w gospodarstwie świata.

Ameryka nie pragnie materyalnych korzyści. Brutalne łamania praw, których w tej wojnie dopuszczał się rząd niemiecki, muszą być naprawione. Słowo obecnych panów Niemiec nie może być rękojmią, lecz tylko źródłem ciągłych intryg, chyba że słowo to naród niemiecki uzna wyraźnie jako swoją wolę. Z tego powodu musimy czekać na nowe wypowiedzenie zamiarów przez wielkie ludy mocarstw centralnych".

Polski zjazd polityczny w Moskwie.

W dniu 3 sierpnia i następnych, odbył się w Moskwie zjazd polityków polskich.

Obecnych było na zjeździe 370 delegatów, mających prawo głosu i 120 przedstawicieli rozmaitych instytucyi, nie uczestniczących w głosowaniach, uczestniczących zaś w obradach z głosem doradczym. W ten sposób w zjeździe brało udział 490 osób, w tem 15 byłych posłów polskich różnych kadencyi: Zygmunt hr. Wielopolski, Jan Harusewicz z Łomżyńskiego, Wiktor Jaroński z Kieleckiego, Jerzy Gościcki z Płockiego, ks. Stanisław Maciejewicz z Wilna, Wawrzyniec hr. Puttkamer z Wileńskiego, Raczkowski Feliks z Kowieńskiego, Seweryn ks. Czetwertyński z Siedleckiego, mec. Franciszek Nowodworski z Warszawy, Niezabitowski z Mohylowskiego, Dymsza Henryk z Inflant Polskich, Zalewski Bogdan z Siedleckiego, Zawisza z Kowieńskiego.

Szereg referatów zjazdu zagaił referat p. St. Widomskiego o obecnym stanie sprawy polskiej, który zaznaczył, że dziś społeczeństwo całe organizuje się na gruncie pamiętnych uchwał krakowskich Koła sejmowego z 28 maja.

Jerzy Zdziechowski mówił na temat: „Układ stosunków polskich w Kongresówce i na Litwie". Referent przedłożył zebranym wiele materyałów, zebranych w tym celu. Dla sprawy tej i jej zbadania przebywał dłuższy czas w Sztokholmie, by zebrać autentyczne dane. Koreferentem w tej sprawie był. mec. Nowodworski, który wykazał fałszywą opinię, sianą w Rosyi, że Rada Stanu jest rządem narodowym i że od niej rozkazów wyczekiwać niepodobna.

Dalsze referaty wygłosili pp. B. Wasiutyński: „Koalicya, a sprawa polska" — B. Winiarski: „Sprawa polska, jako zagadnienie międzynarodowe" i prof. St. Grabski: „Akcya polityczna polska na terenie państw koalicyjnych i neutralnych".

Następnie p. Maryan Lutosławski przedstawił zebranym stan prac delegacyi polskich za granicą. W Londynie Dmowski i Kozicki; w Paryżu hr. Zamoyski, hr. Plater i Pilc; w Rzymie Loret, pracują dla sprawy polskiej; a w Lozannie centralna agencya polska prasowa informuje rządy i opinię świata o Polsce. Prowadzą ją pp. Maryan Sejda, prof. Rozwadowski, Morawski, hr. Żółtowski i St. Natanson. Ich to przedewszystkiem zasługą, że świat zna coraz lepiej i ocenia sprawę polską.

Najważniejszym wynikiem zjazdu jest uchwała tworzenia armii polskiej w Rosyi. Przemawiali w tej sprawie przedstawiciele „Naczelnego Komitetu Wojskowego", wszyscy podobno w randze — chorążych. Przedstawiciel „Naczelnego Komitetu Wojskowego", chorąży Zarębski, zaznaczył, że najważniejszą sprawą obecnie jest wydobycie wszystkich Polaków z szeregów rosyjskich, a co żołnierz polski wart, tego dowodem ułani polscy i 4 pułk piechoty. Na zapytanie, czy „Komitet Wojskowy" może liczyć na poparcie zjazdu, odpowiedziano jednogłośnie twierdząco i zaraz na posiedzeniu zebrano na cel ten 10 tysięcy rubli.

W sprawie polskiej siły zbrojnej, której potrzebę tworzenia bezwzględnie uznano, wygłosił też referat p. St. Wojciechowski. — Oświadczyli się też w tej sprawie stanowczo i włościanie przez usta chłopa polskiego Wajdeka i Simona, który zaznaczył, że chłop polski nie stracił ducha patryotycznego, gdyż nie uległ walce klas, a podszeptom internacyonalistów chłop nigdy nie ulegnie — niemniej też imieniem robotników p. Staszyński.

Za prawomocną władzę w sprawach organizacyjnych uznano wybrany na zjeździe wojskowym w Petersburgu „Naczelny Komitet Wojskowy". Przy tej sposobności zjazd zwrócił się do rządu rosyjskiego z energicznym protestem przeciw trudnościom, stawianym tworzeniu polskiej siły zbrojnej, upatrując w tych sztucznych przeszkodach motywy partyjnej natury.

Drugim wynikiem obrad jest stworzenie „organu specyalnego, któryby kierował polityką polską w Rosyi, państwach koalicyjnych i neutralnych i przemawiałby w imieniu tych, którzy go wybrali". Ta „Rada Zjednoczenia międzypartyjnego" wybrana została na podstawie referatu posła Gościckiego, z 75 osób z prawem kooptacyi nowych przedstawicieli organizacyi, które do „Zjednoczenia" zechcą się przyłączyć. Radzie tej polecono zapewnić Polsce ze strony koalicyi i państw neutralnych własną reprezentacyę na kongresie pokojowym, popierać „Polski Naczelny Komitet Wojskowy" w kwestyi niezwłocznego wydzielenia Polaków z armii rosyjskiej postarać się o dokładne poinformowanie państw koalicyi i neutralnych o całości sprawy polskiej. Również powierzono Radzie zorganizować siły społeczeństwa dla współdziałania przeciw „rzekomym pacyfistycznym prądom, działającym na szkodę zarówno Polski, jak Rosyi i dla postanowienia przy zapowiedzianej rewizyi układów między państwami koalicyjnemi sprawy polskiej w programie ich celów".

Przed konferencyą sztokholmską.

Dnia 24 sierpnia zakończyły się obrady kongresów organizacyi poszczególnych krajów. Na posiedzeniu końcowem wygłoszono przemówienia. Mówili między innymi Huysmans, Troelstra i reprezentant rosyjskich minimalistów, Axelrod, oraz członek sobrania bułgarskiego, Sakatow. Axelrod mówił o odmowie udzielenia paszportów socyalistom z krajów ententy. Jeżeli socyaliści angielscy i francuscy będą silnie trwali przy postanowieniu wzięcia udziału w konferencyi sztokholmskiej, natenczas rządy koalicyi będą musiały zmienić stanowisko. Huysmans powiedział, że konieczny jest szybki pokój, ponieważ w innym razie niewiele pozostanie z Belgii. We Francyi i Anglii sfery mieszczańskie są przeciwne konferencyi i starają się jej przeszkodzić, natomiast klasa robotnicza życzy sobie jej odbycia.

Serbska organizacya socyalno-demokratyczna, która również otrzymała zaproszenie na konferencyę sztokholmską, wysyła jako przedstawicieli naczelnego redaktora dziennika partyjnego „Radinecke Novine" i sekretarza serbskiej partyi socyalno demokratycznej, Duszana Popovicza. Popovicz wyjeżdża w najbliższym czasie do Sztokholmu.

„Sozialdemokraten" ogłasza projekt oświadczenia, jakie ma złożyć na konferencyi sztokholmskiej delegacya angielska Labour Party. Obejmuje ono następujące główne punkta:

1. Imperyalizm niemiecki musi być pokonany.
2. Klasa robotnicza musi się złączyć celem ukończenia wojny.
3. Ma ona przyjąć formułę rosyjską „bez aneksyi".
4. Musi być utworzony związek narodów.
5. Niemcy muszą przywrócić Belgię i dać jej wynagrodzenie szkód wojennych.
6. Konferencya ludów bałkańskich, albo międzynarodowa komisya ma rozstrzygnąć o kwestyi bałkańskiej.
7. Alzacya i Lotaryngia mają przypaść Francyi.
8. Obszary językowe włoskie Austro Węgier przypadają Włochom.
9. Polska stanowi sama o swym losie.
10. Palestyna ma przypaść żydom, pod gwarancyą międzynarodową.
11. Konstantynopol ma być wolnym portem.
12. Tropikalne afrykańskie kolonie przechodzą pod zarząd międzynarodowy.
13. Międzynarodowa kontrola co do najważniejszych środków żywności.
14. Zarządzenia zapobiegawcze przeciw bezrobociu.
15. Niema być wojny gospodarczej.
16. Międzynarodowa odbudowa zniszczonych obszarów.
17. Dochodzenia prawne co do przewinień osób poszczególnych i państw przeciw zasadom ludzkości.
18. Przywrócenie prawa międzynarodowego.
19. Usunięcie tajnej dyplomacyi.

Dzienniki szwedzkie ogłaszają obszerne interwiewy z Axelrodem, który oświadczył, że nie przybył jako przedstawiciel Rady robotniczo żołnierskiej, lecz jako przedstawiciel organizacyi mienszewików. Wiadomości jakoby Rosya odmówiła wydania paszportów, są fałszywe. Jest on przekonany, że rząd rosyjski nie zachowuje się wrogo wobec konferencyi. Spodziewa się on, że angielscy i francuscy towarzysze partyjni przybędą do Sztokholmu i że nie będą oni narzędziem klas rządzących. Jeżeli Niemcy oświadczyły gotowość do rokowań pokojowych, a Francuzi oświadczają, że nie chcą rokować i podnoszą, że Niemcy ponoszą winę za wybuch wojny, natenczas Francuzi biorą na siebie odpowiedzialność za dalsze trwanie wojny. Szerokie masy ludności rosyjskiej żywią wielkie nadzieje co do konferencyi sztokholmskiej, dlatego jest obowiązkiem wszystkich partyi robotniczych dołożyć wszystkich sil, aby pokonać trudności i przeszkody, które stają w drodze konferencyi sztokholmskiej.

Z życia w Królestwie Polskiem.

W Starachowicach, ziemi Radomskiej, w dniach 11 i 12 sierpnia odbyły się dwa przedstawienia amatorskie na dochód Macierzy szkolnej Królestwa Polskiego. Odegrano „Posażną jedynaczkę" Fredry i „Jesienią" Swiderskiego. Organizacyą przedstawienia zajmował się ruchliwy prezes Macierzy inż. Karczewski, a reżyseryę prowadził bawiący tam na wakacyach artysta teatru miejskiego w Krakowie, p. Wacław Szymborski. Obie sztuki odegrane zostały pod każdym względem doskonale, a grą swą odznaczyli się zwłaszcza pp. Dzierzbicka, Tarchalska, Rogowska, Dominowska, Rosiński, Rudziński, Czaki, Tarchalski, Koszarski, Lewański i inni.

Kronika tygodniowa.

Wakacye skończyły się więc, a z niemi i lato, zbliża się wielkim krokiem jesień. Czy to będzie piękna, polska jesień, o której niegdyś śpiewali poeci, tego powiedzieć nie można, by się nie narazić na zarzut naszych „przyjaciół“, że Polacy są tak zachłanni, iż chcą dla siebie zaanektować nawet i jedną porę roku, która, jako taka, powinna być międzynarodową, a dla nas może być „w drodze łaski“ o tyle piękną, o ile da nam sposobność do zebrania resztek plonów i wysłania ich tam, gdzie na nie czekają. Przyjaciół zaś takich mamy dość. Zachód żąda od nas, byśmy na jego rzecz wyzbyli się wszystkiego, co potrzebne dla ciała, które, jako grzeszne, na pierwszy plan wysuwa obżarstwo i pijaństwo, gdy natomiast Wschód, reprezentowany przez naszych braci stryjecznych, nazywających się dziś Ukraińcami, radby nam odebrać wszelkie zdobycze kulturalne, jakie od wieków porobiliśmy z tamtej strony Sanu. „Nie kładąc tamy dobroczynności“, wzięliby chętnie i to, co mamy po lewym brzegu tej rzekomo granicznej rzeki, wychodzą bowiem z tej zasady, że, im Małopolska będzie mniejszą, tem dla niej lepiej, gdy tymczasem Ukraina powinna i musi otrzymać te granice, jakich nigdy nie miała.

Te ostatnie, nazwijmy je polityczne uroszczenia są utopią, która nigdy nie doczeka się urzeczywistnienia, własności bowiem swojej nigdy się nie wyrzekniemy, gorzej natomiast będzie z zaspokojeniem zachodnich apetytów, utrzymujących stale, iż Galicya na to jest tylko stworzoną i w poczet krajów koronnych monarchii zaliczoną, by im nic nie brakło.

Żniwa jeszcze nie ukończone i niewiadomo dotąd, jaki ich ostateczny wynik pod względem wydatności ziarna, a już z góry przeznaczono, ile Galicya ma mieć do pozbycia zboża, ziemniaki także jeszcze nie wyjrzały na światło dzienne, a już ostrzą się na nie apetyty, zwłaszcza, że pan dr. Schleicher, wiceprezydent miasta Lwowa, raczył najłaskawiej orzec, iż urodzaj jest znakomity, Galicya więc może odstąpić sporo innym prowincyom. O ile mi się zdaje, pan dr. Schleicher jest z zawodu prawnikiem, na ziemniakach i ich urodzaju znać się przeto musi, choć znów agraryusze, tak wielcy, jak i mniejsi, są zupełnie innego zdania i twierdzą, iż tegoroczny zbiór ziemniaków będzie daleko gorszy, niż w poprzednich latach. Pod jednym krzaczkiem, choć nad ziemią pięknie rozrośniętym, siedzi sobie spokojnie po dwa lub trzy ziemniaczki, gdy natomiast po inne lata było ich tam po kilkanaście. Tem się też tłumaczy, że już dziś, gdy ziemniaków powinno być coraz więcej, a cena ich tem samem spadać, za kilogram płacić się musi powyżej korony i trzeba być zadowolonym, że się je dostało.

Można więc być na to przygotowanym, że z ziemniakami, wbrew orzeczeniu fachowemu pana dra Schleichera, złożonemu we Wiedniu, będzie jeneralna klapa, a zupełnie to samo powiedzieć się musi i o innych jarzynach, na przykład o tak popularnej dotąd u nas kapuście. Czego nie wypaliło słońce, to, zamiast ludzi, zjadły gąsienice, bo i one starają się o zaspokojenie swych apetytów, nie oglądając się przytem na żadne zakazy i rozporządzenia.

Nie tak więc pięknie przedstawiają się tegoroczne galicyjskie zbiory, co powinny wziąć pod uwagę miarodajne czynniki, pragnące w naszym kraju widzieć ziemię obiecaną, mlekiem i miodem płynącą.

Trzeba więc być na to przygotowanym, że na jesień, a zwłaszcza zimę, musi się porządnie przyciągnąć pasa, a równocześnie też i na „maćkowe jeremiady“, bo wiadomo, że żołądek ma taką paskudną mazurską naturę, iż mruczy, gdy jest próżny!... Chyba... Chyba, że okaże się prawdą, a nie zwykłą kaczką dziennikarską, już po kanikularnym sezonie, szumne doniesienie pism codziennych, zatytułowane: „Epokowy wynalazek przeciw wygłodzeniu“.

Czytamy tam, co następuje:

„Pisma niemieckie donoszą z Zurychu: *Neue Züricher Nachrichten* podają: Nadzieja koalicyi, że zdoła wygłodzić państwa centralne, nie była nigdy bardziej iluzoryczną, jak w chwili obecnej. Po długotrwałych wszechstronnych badaniach, prowadzonych przez powagi naukowe w sprawie nowego, epokowego odkrycia w dziedzinie wyżywienia publicznego, rozpoczęto obecnie fabryczne wytwarzanie nowego środka odżywczego. W stosownym czasie tajemnica zostanie uchyloną i podaną do wiadomości ogółu“.

W górę więc serca, a jeszcze wyżej żołądki. Epokowe odkrycie pozostaje wprawdzie na razie tajemnicą, ale miejmy nadzieję, że rychło ona uchyloną zostanie, a tymczasem „niech głodni nie tracą nadziei...“

Ale, co to będzie, spyta może ktoś z Czytelników, ja jednak nic mu na to nie odpowiem, bo sam nie wiem i, jak reszta ogółu, zadowolić się muszę tylko „przyjemnem oczekiwaniem“. Pomysłowość ludzka jest wielką, objawia się w najrozmaitszych zakresach, dlaczegóż więc i w kwestyi aprowizacyjnej nie mogłaby znaleźć pola do popisu. „Pomysłowość aprowizacyjna“, to tytuł najnowszego dzieła, jakie się niebawem pojawić ma na półkach księgarskich i zastąpić używane dotąd książki kucharskie, które dziś zeszły do rzędu bajek z tysiąca i jednej nocy. Na której karcie otworzysz to źródło dobrego humoru, wszędzie spotkać się możesz z przepisem, jak przyrządzić taką lub owaką potrawę, ale przekonujesz się, że do każdej potrzeba mąki, masła, cukru, jajek, sera, mięsa i tym podobnych artykułów, które znamy z przed wojny. Nie mówię już o ryżu, migdałach, rodzynkach i innych specyałach, stanowiących dziś dla większości owoc prawdziwie zakazany. Nam trzeba czegoś, co dałoby się sporządzić z tego, co mamy pod ręką, a na razie rozporządzamy jeszcze dowolnie powietrzem, po części zaś i wodą, o ile jaka rura nie pęknie. „Pomysłowość aprowizacyjna“ musi się więc w tym kierunku wytężyć, aby z tych dwu czynników, choćby w sposób fabryczny, sporządzić coś, co mogłoby nam zastąpić używane przez ojców naszych artykuły spożywcze. To byłby dopiero prawdziwie epokowy wynalazek i wówczas moglibyśmy się śmiać, choćby wojna miała potrwać jeszcze i lat piętnaście.

Jest przecież jeszcze jeden warunek i to pierwszorzędnej wagi. Jeżeli się uda to, o czem wyżej była mowa, niech też przypadkiem wyrobu i rozdziału owego nowego epokowego środka spożywczego nie przydzielą jakiej centrali, bo cel będzie znów chybiony.

Wracajmy jednak do owego „epokowego wynalazku“, o którym piszą *Neue Züricher Nachrichten.* Według informacyi, jakich zasięgnąć zdołałem u znajomych chemików, aptekarzy i członków różnych instytucyi aprowizacyjnych i gospodarczych, na razie będzie się miało do czynienia z czemś, co sporządzone będzie z daleko pożywniejszych materyałów, niż powietrze i woda. Czy to owo „coś“ będzie w stanie stałym, płynnym, czy lotnym, tego nikt dotąd nie wie, przypuszcza się przecież, że mieć będzie smak, przypominający coś pośredniego między zupą rakową, polędwicą garnirowaną i lodami ananasowymi, prócz zaś wybitnych własności odżywczych posiadać będzie także i dezynfekcyjne, wobec czego organizm ludzki nie będzie odtąd narażony na żadne czerwonki, tyfusy, niestrawności, katary żołądkowe i inne tego rodzajn dolegliwości, które nas dziś trapią, a mają związek z nieregularnem, niedostatecznam i nieodpowiedniem odżywianiem się osobnika. Nowy środek ma to mieć podobno do siebie, iż używany będzie w minimalnej ilości, najwyżej po kropli na raz, że więc przeciętny obywatel w kieszeni od kamizelki będzie mógł nosić zapasy spożywcze, na miesiąc przynajmniej starczące, jaką zaś potrawę się w danym wypadku sporządzi, to będzie zależnem jedynie od sposobu przyprawy owej kropli i... fantazyi jedzącego. Cena również ma być bardzo niską, przystępną nawet dla tych, którzy nie rozporządzają nawet halerzem...

Wszystko zależy jednak od tego, czy „epokowy ten wynalazek“ ma się sporządzać z materyałów, których jest dość, czy też takich, których brakuje, w tym bowiem drugim wypadku miałoby się do czynienia z poważnemi trudnościami, na zwalczenie których byłoby potrzeba nielada energii.

Gdyby nadto w podobny jakiś sposób udało się zapobiedz mizeryi mieszkaniowej, opałowej, oświetleniowej i ubraniowej, wszystko byłoby w porządku i, pomimo wojny, moglibyśmy mówić, że nastały złote czasy...

Broń także Panie Boże, by to nie był przypadkiem jakiś surogat lub „*Ersatz*“, z jakimi dziś na każdym kroku się spotykamy, a świeżo mieliśmy sposobność przekonania się na piwie, co to za specyał. Po prostu gorzka woda i skutek potem zupełnie taki sam!... Ale ten „piwny zastępca“ miał w każdym razie jedną zaletę. Szklanka kosztowała sześćdziesiąt, czy siedmdziesiąt halerzy, a satysfakcyi miało się więcej, niż nawet za dwie korony, a i to dziś coś znaczy, gdy medykamenta wszelakie tak podrożały, a olej rycynowy dostępny jest tylko dla najbliższej rodziny aptekarza, z obcych zaś dla milionerów.

O ile więc ze stanowiska hygieny należałoby sobie życzyć, by „*piwny Ersatz*“ znalazł jak najszersze rozpowszechnienie, o tyle znów, jako amator piwa, nie wróżę mu bynajmniej życzliwego przyjęcia. Bieda więc będzie z gaszeniem pragnienia dla tych, którzy wody nie używają, zwłaszcza, że Węgrzy widocznie pogniewali się na nas i zakazali wywozić od siebie napój Gambrynusa, do którego zaczęliśmy się już przyzwyczajać. Politykowanie natrafia więc na coraz większe trudności, a napotka na jeszcze większe, gdy wejdą w życie karty tytoniowe, na których samo wspomnienie aż skóra cierpnie na każdym palaczu. Lichy mamy tytoń obecnie i cygarzyska, ale przynajmniej coś jest, gdy zaprowadzą karty, łatwo się stać może, że i tego braknie, choć zbiór liści bukowych i kasztanowych był podobno wcale pomyślny.

A wiadomo, że politykowanie o suchem gardle i bez puszczania wonnych dymków, co wpływa na rozjaśnienie i rozszerzenie światopoglądu, nie udaje się zwykle. Wiadomo wszystkim, iż Bismarck, bezwarunkowo jedna z najtęższych głów, o ile to dotyczy polityki, był namiętnym zwolennikiem piwa, a z fajką także nierad się rozłączał. W jakże więc trudnych warunkach znalazłby się dziś, gdyby mu danem było doczekać tak ciężkich czasów!

Gniewają się na mnie niektórzy z Czytelników, iż zbyt wiele miejsca poświęcam aprowizacyi, ale w tem nie moja wina. Każdy mówi i pisze najchętniej o tem, co mu dolega, a dla mnie najboleśniejszym nagniotkiem, jeśli nie piętą Achillesową, jest właśnie aprowizacya, zwłaszcza, że mam ogromny respekt przed czerwonką, stojącą z nią w bezpośrednim związku. Koloru czerwonego nigdy nie lubiłem, politycznie także nigdy nie byłem czerwonym, ani nawet różowym, dziś więc nie myślę na starość zmieniać zapatrywań. Chętnie też za stosowałbym się do ponczenia fizykatu miejskiego, w jaki sposób ustrzedz się tego paskudztwa, które zwie się czerwonką i grasuje bezkarnie w Krakowie, jak gdyby on nie był gniazdem konserwatystów, ale stolicą międzynarodówki. Cóż jednak począć, gdy to ponad siły poszczególnych jednostek. Żyć hygienicznie można, ale nie *tempore belli*, to jest w okresie najrozmaitszych braków, surogatów i t. d. Nawet, choćby nas wzięła w prawdziwą opiekę nowa Rada gospodarcza, która rozpoczęła właśnie urzędowanie, nie na wiele się to przyda, bo z próżnego i Salomon nie naleje... Radzić, co jeść i pić, łatwo, ale trzeba, aby to i było!...

To tak energiczne zajmowanie się kwestyami aprowizacyjnemi wybaczy mi więc chyba każdy z Czytelników, działam bowiem nie tyle w interesie własnym, choć radbym, rzecz prosta, mieć i swoją pieczeń przy tej sposobności, ale ogółu. Ze zaś aprowizacya to bynajmniej nie żadna bagatela, tego dowodem, iż nawet i radcy miejscy handlują świńskimi delikatesami, o czem wspominano na ostatniem posiedzeniu naszej Rady. Gdyby to bodaj te kiełbasy i szynki poszły były do naszych żołądków, nie narzekałbym bynajmniej, ale one pojechały sobie prościuteńko do Wiednia.

Już to, skoro o tem mowa, trzeba przyznać, że wiedeński pan Leo, nazywający się Weisskirchner, także ekscellencya, choć burmistrz, nie prezydent, dba o to, by Wiedeńczycy mieli czem zaspokoić apetyt i pragnienie i nie ogranicza się bynajmniej na obietnicach lub narzekaniach, że jest bezsilny, ale działa z całą męską energią, a nawet może zbyt energicznie. O węgle już się wystarał, o tłuszcz i mięso także, teraz zaś przyszła kolej na ziemniaki. Czyni się więc kroki, aby, skoro one, według fachowego orzeczenia dra Schleichera, tak wspaniale w Galicyi obrodziły, Galicyanom wyznaczyć po kilogramie na tydzień i osobę, a resztę zabrać do Wiednia.

A co na to nasze władze, mające mieć w opiece nasze żołądki?... Zapewne znowu załamią ręce i powiedzą, że rozpoczną starania, by złe odwrócić, czy się jednak uda, za to nie ręczą, choć wiedzą, że się nie uda z pewnością. Jeśli więc zostaną uwzględnione ziemniaczane postulaty Wiedeńczyków, na każdego mieszkańca Galicyi przypadnie na dzień jeden ziemniaczek i to niezbyt wielki... Ten, kto wynalazł ziemniaki, chyba ani przypuszczał, do jakiego one dojdą znaczenia, że nawet w czasie festynów stanowić będą najcenniejsze wygrane. Na jednym z ostatnich, najbardziej zadowoleni byli ci wybrańcy losu, którym poszczęściło się wygrać kilogram ziemniaków. Dawniej nie byłby ich tak nieszczęsny nawet ananasy!... Zamiast dni kwiatka należałoby więc może urządzać na dobroczynne cele „dni ziemniaka“, ale najmniejsza ofiara musiałaby wynosić przynajmniej koronę.

Z ziemniaków pędzi się spirytus, ze spirytusu robi się zaś wódkę, nic też dziwnego, że i ona ogromnie podrożała. Wobec braku ziemniaków byłoby przecież wskazanem, by władze zakazały wogóle pędzenia spirytusu, a przynajmniej ograniczyły jego produkcyę do *minimum*, to jest, o ile jest potrzebnym dla celów leczniczych i przemysłowych.

Natomiast „piwosze“ bardziej różowo mogą się zapatrywać na sytuacyę, niż amatorzy „silnej z mocną“. Rząd obiecał piwowarom dostarczyć odpowiednią ilość jęczmienia, ale pod warunkiem, iż zniżą ceny piwa. Przemyślny to jednak ludek! Na razie, póki jęczmienia jeszcze niema, narzekając na ciężkie czasy, podniosą cenę piwa o dwadzieścia koron na hektolitrze, a potem, gdy obietnicy Rząd dotrzyma, zniżą znów o... dziesięć koron, to jest zrobią na tem całkiem bryllantowy interes.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwiska dwu współczesnych czeskich kompozytorów.

□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1 Pieniądz polski z czasów Piastowskich 2. Tytuł panującego. 3 Utwór poetyczny. 4 Grzyb. 5. Rosyjska miara długości. 6. Admirał angielski 7. Minerał. 8. Australskie drzewo szpilkowe 9. Dawna miara płynów. 10. Zboże. 11. Utwór poetyczny 12. Popularna nazwa pewnego ptaka. 13. Sprzęt kościelny. 14. Szczyt w Tatrach.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Jaja, dzwon i łyki bieli.

Łamigłówka.

Ułożył St. Winter, Tarnów.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie.

B—r
o—a
E—a
k—a
m—l
e—a
e—a
P—l
o - a
b - k
S—n
o - a

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył St. Winter (syn) Tarnów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

a, a, a, b, b, c, c, e, i, i, l, m, m, o, o, o, o p, r, s, s, t, w, y, y, y, z, z.

Zadanie królewskie.

Ułożył Pikuś. Kraków.

y	a	n	l	a
s	o	ó	n	k
o	t	g	l	s
r	ó	o	ę	k
r	w	d	i	a

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył Ed. Składzień, Zawada

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) -ię--y--e-y-i-e--oo-i-e----ó-e-.
2) -ie--i---ya-e-y-!

Trójkąt magiczny.

Ułożył J. Obtułowicz, Żywiec.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy imię i nazwisko słynnego odkrywcy.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukane wyrazy. 2. Przychodzący do zdrowia. 3. Typ zwierząt na najniższych stopniach rozwoju. 4 Nauka o znakach pisarskich. 5. Nauka o pieczęciach. 6. Imię męskie (biblijne). 7. Pająk, żyjący w południowej Europie 8. Rodzaj sikorki. 9. Słabość 10. Inaczej towarzysz. 11. Trawa, wyrosła po skoszeniu. 12. Tytuł angielski 13. Miasto w Niemczech. 14 Litera grecka. 15 Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Bo ci Wilhelm wziął źrenicę zięby i wykę. E!

Bilety wizytowe.

Ułożył J. Markiewicz, Nagawczyna.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

ANDR. H LAZ.

AD. BILOROG.

JAN TADUT.

KANTY F. BAR.

O. RETY-KERPOT.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: *A. Gruszeckiego*: **Po ślubie.** Powieść.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 33.

Zadanie na rozsypane litery: Ludzie sądzą, ludzie błądzą.

Trójkąt magiczny:

S t a n i s ł a w ó w
T a r n o b r z e g
A b i s s y n i a
N i e ś w i e ż
I r o k e z i
S a z a w a
Ł o m ż a
A l p y
W a g
Ó w
W

Zadanie do przestawienia: Tyle zysku, co w pysku

Okienko:

B a c h m a t
a . . e . . a
c . . l . . r
h e l u s i a
m . . s . . b
a . . i . . a
t a r a h a n

Łamigłówka na czasie:

Co to będzie?
Cna wojenka wciąż się srozy,
Dzień za dniem upływa Boży,
Nic nadziei nie przysporzy.
Coraz marniej, coraz gorzej..
Człek, tak ongi wesół, hoży,
Zda się, Bogu ducha złoży,
Oczekując *pacis* zorzy,
Klnie i głodem dziś się morzy.

Biada, ale nędzą przędzie
I w krytycznym czasu pędzie,
Cicho siedząc na swej grzędzie,
W „napół śpiących“ stale rzędzie...
Tylko jedno ma na względzie,
Co mu dzierży mózg w obłędzie,
Co go dręczy stale, wszędzie,
Co to będzie?... Co to będzie?...

Łamigłówka literacka: Zaleski

Zadanie do przestawienia: Pozory często mylą

Kwadrat magiczny:

S c h i l l e r
C e l t o w i e
H a n n i b a l
I n ż y n i e r
L e n i w i e c
L e w k o n i a
E l e o n o r a
R o s i e n i e

Zadanie do uzupełnienia:

1) Potrzebny, jak cierń w pięcie.
2) Bez pracy żyją tylko ptacy

Bilety wizytowe: Dentysta Ornitolog Strategik. Sukiennik Sekwestrator.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Łodyńska Kraków M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn. M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, S Drozdowski Lwów, J Sosenko Munkacz, B. Książek Miejsce Piastowe, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, M Handzlikówna Wadowice, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. Borowiecki Lwów. M Golska Wiedeń, M. Raczyńska Lwów, W. Nowiński Tarnów, R. Wójcik Przemyśl, Z Małecki Lwów. S Burzyński Jasło, M Borkowska Przemyśl, Z Walkowski Brzesko, H Dziedzic Tarnów, E Winter Tarnów, E. Bogdalska, Koropuż.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Drozdowski, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Od Administracyi.

„Piekło“ *W. Grabiańskiego* można nabywać **w Administracyi „Nowości Illustrowanych“**. Książkę wysyła się po nadesłaniu należności. Cena książki K. 3·50. Na porto polecone, gdyż tylko za takie posyłki Administracya przyjmuje odpowiedzialność, należy dołączyć 50 hal.

Z półek księgarskich.

Wacław Grabiański: **Piekło** (Szkice z wojny). (Przed mostem, Piekło. Jedna noc. Swięty Boże, święty mocny... Pan i pies. Przestępca. Stajenka Betleemska. Matka. Smierć. Szpieg). Kraków 1917. S. A. Krzyżanowski. E. Wende i Sp. Warszawa. A. Niemierkiewicz, Poznań. Drukarnia Nakładowa w Krakowie.

Szereg obrazków, malujących barwnie okropności obecnej wojny. Czyta się je z zajęciem, choć ze łzą w oku, a kiedyś po latach, gdy nastanie już tak upragniony pokój, znajdzie Czytelnik w tej książeczce wierne odbicie przejść, których my byliśmy naocznymi świadkami i niejednokrotnie osobisty braliśmy w nich udział.

Ks. Andrzej Husano: **Syn człowieczy.** Kraków 1917. Nakład Autora. Drukarnia Narodowa w Krakowie.

Pracę swą, pod tytułem „Syn człowieczy“. traktuje Autor nie jako studyum naukowe, ale jako wiązankę artykułów pokrewnej treści o charakterze religijno-filozoficzno-społecznym, ażeby zwrócić uwagę społeczeństwa chrześcijańskiego na rozdźwięk, jaki zapanował między nauką Chrystusa, zasadzającą się na miłości i poszanowaniu godności ludzkiej, a życiem codziennem i politycznem chrześcijańskich społeczeństw i na bolesne skutki rozdźwięku tego. Nawołuje przytem do wprowadzenia w życie nauki Chrystusa.

W liście do Redakcyi pisze Autor: „Aczkolwiek dziełko to jest owocem mej wielkiej, niezłomnej wiary i gorliwości o chwałę Bożą i dobro ludzkości, jednak jestem przygotowany na ostre ataki tych sfer, które od wieków przyzwyczajone są, by je głaskać i schlebiać im, tak w złem jak i dobrem. Ale dziś nie czas na to, kiedy wiekowe głaskanie i tolerowanie swoich błędów dało nam w spadku morze krwi i łez.

Gdybym inaczej pisał, nie byłbym kapłanem, nie byłbym człowiekiem, byłbym płatnym urzędnikiem“.

Ze względu na aktualną treść i tendencyę zasługuje niniejsza praca na szerokie rozpowszechnienie.

Stanisław Przybyszewski: **Szlakiem duszy polskiej.** Nakładem „Ostoi“, Spółki wydawniczej. Poznań. 1917. Czcionkami Drukarni „Dziennika poznańskiego“.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.